

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

299773

JÓZEF LUTOSŁAWSKI

Chleb i Ojczyzna

Z ŻYCIORYSEM I PORTRETEM AUTORA
ORAZ
Z PRZEDMOWĄ
ZYGmunTA WASILEWSKIEGO.



WARSZAWA
1919

E. WENDE I SPÓŁKA.

1875

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

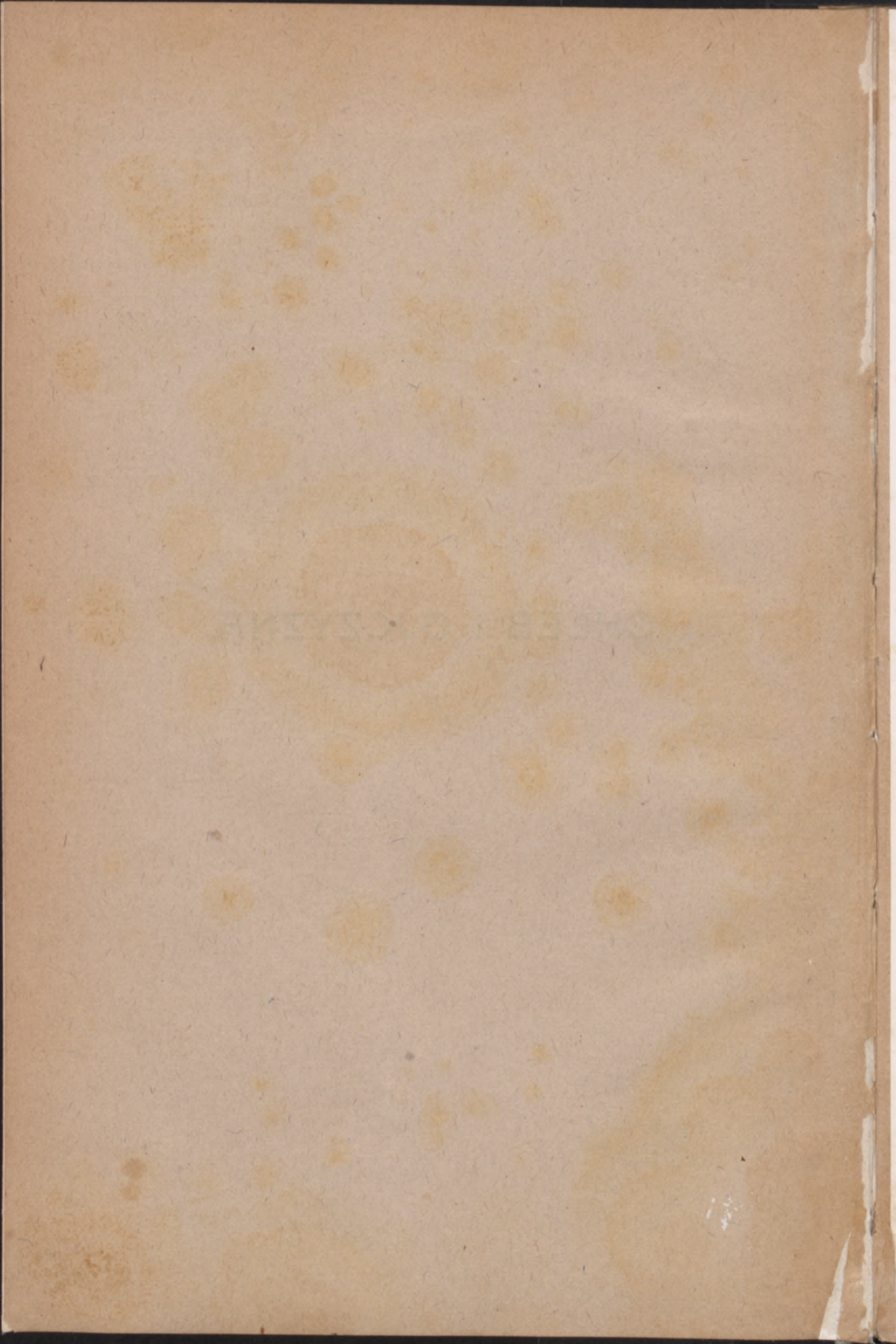


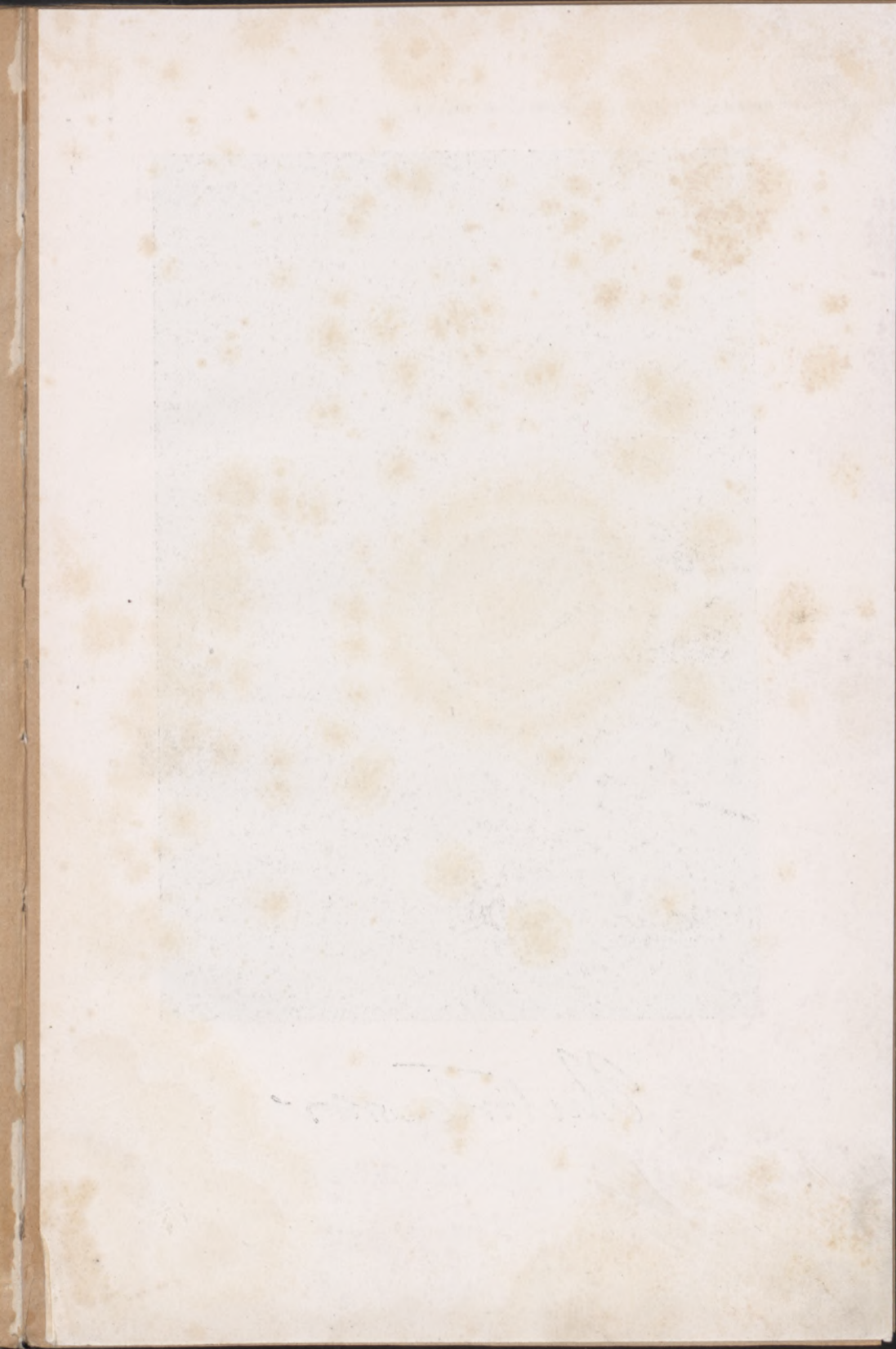
WYDZIAŁ

SPÓŁKA

4818

CHLEB i OJCZYŻNA.







Antoniawski-

JÓZEF LUTOSŁAWSKI

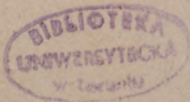
CHLEB i OJCZYZNA

Z ŻYCIORYSEM I PORTRTEM AUTORA
ORAZ
Z PRZEDMOWĄ
ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO.



WARSZAWA
1919

E. WENDE i SPÓŁKA.



299773

K. 666/5A

za Kartą bytutową
„Chleb i ojczyzna”

SZLAKIEM SOCJALIZMU

TRYPTYK IDEOWY

Prolegomena: *Józef Lutostawski* „Chleb i ojczyzna”. — **Walka o duszę ludu:** *Ks. K. Lutostawski* „Hasła rewolucyi w świetle nauki katolickiej”. — **Walka o ziemię:** *Jan Lutostawski* „Sprawa rolna jako problemat polski”.

WARSZAWA — 1919.

STANLEY

SOCIETY

TRUSTEES

STANLEY SOCIETY
TRUSTEES

1811-1812

KIERUNKOWI MYŚLI
NARODOWEJ I DEMOKRATYCZNEJ

STANISŁAWA SZCZEPANOWSKIEGO

W ZAKRESIE GOSPODARCZYM,

ERAZMA MAJEWSKIEGO

W ZAKRESIE SPOŁECZNYM,

ROMANA DMOWSKIEGO

W ZAKRESIE POLITYCZNYM

PRACE TE POŚWIĘCONE.

WYDZIAŁ
HISTORII I FILOZOFII

STAWIŁA SZCZĘLIWOSTEGO

W ZAKŁADZIE

BRANNA WYDZIAŁOWEGO

W ZAKŁADZIE

KOMIJA DROGOWSKIEGO

W ZAKŁADZIE

WYDZIAŁ

W momencie, gdy socjalizm, bez różnicy odcieni organizuje w Polsce walkę z narodem i, występując już zgoła bez obłonek, bezwstydnie depce jego tradycyjne ideały, przeciwstawia się zupełnie jawnie woli najszerzych kół narodowego społeczeństwa — musi wywołać zgodny odpór.

Ta reakcja nie będzie „reakcją“ w pojęciu socjalistów i nie da się zbić z tropu ich fałszywym oburzeniem „znieważanej demokracji“, której oni są zdrajcami.

Ich demagogja pociąga masy, zupełnie jeszcze nieświadome posiadania przez naród dóbr, które w szerynym rozmyślnie chaosie mają być stracone.

Trzy prace niniejsze, pochodzące z pod pióra ludzi bardzo sobie bliskich, nie tylko krwią, bo spojonych jedną idea, za którą pierwszy w ofierze położył życie, mają wyraźnie na celu walkę Polski z socjalizmem. Wszystkie trzy napisane w Rosji — wyciągają z wrażeń, tam przeżytych, jaknajwięcej nauki i rozmachu dla sprawy, której mają służyć.

Nasze społeczeństwo kierowało się dotąd najfałszywszym stosunkiem do socjalizmu, przyjmując jakby bezbronną wobec niego postawę. Nie dostrzegało, że przybiera on, jak kameleon, na gruncie polskim przeróżne postacie, szukając daremnie trwalszego punktu oparcia. Tak obce jest nam jego natchnienie.

Socjalizm korzeni się w Polsce płytko, nasz organizm narodowy wyrzuca go wciąż z powrotem na powierzchnię. Stąd jest w Polsce hałaśliwszy, niż gdzieindziej, bardziej widoczny gołem okiem i bardziej zajmujący dla każdego, kto rzadziej schodzi do wnętrza duszy narodowej i dlatego skorszy jest do przeceniania jego zwycięstw. Te zapewnia śmiałkom najczęściej poparcie tłumu, aż nadto zrozumiałe, i w nie-małej mierze światowa organizacja żydostwa, która sprawia, że, wobec wybitnie rolniczego charakteru Polski, prawdziwą, niestety, twierdzą znajduje socjalizm w niektórych kołach naszej inteligencji, przeważnie miejskiej, odrywanej świadomie od ziemi i pełnego zdrowia moralnego ludu wiejskiego, wyprowadzanej do ponętnych kramów inteligenckiej w swym typie międzynarodówki, wreszcie znieprawianej przez świetną organizację licznej przedajnej prasy we wszystkich krajach.

Ale potrafmy odróżnić rzeczywistość od pozorów i socjalizm od istotnej, nowożytnej demokracji, która jest coraz bardziej demokracją narodową, a w miarę, jak się będą szerzyły ideały tej wielkiej wojny ludów — przeobrazą się w nią całkowicie.

To, co się na Zachodzie nazywa demokracją, nie jest tłumem, jak, najczęściej, u nas. Tłum jest wszędzie tłumem, jak i demokracje zachodnie dalekie są od tego, by dać rządzić sobą tłumowi. Składa się na nie w swym głównym pniu inteligencja. Ona też, a nie masy — bierny za ledwie element propagandy, jest głównym nosicielem nowoczesnego rozwoju demokratycznego i głosicielem jego hasła w kołach ludowych.

Przytem polska inteligencja jest bardziej jeszcze narodowa od innych, a i „szlacheckie pochodzenie inteligencji polskiej jest też ciągle jej cechą znamioną, wyróżniającą ją od mieszczańskiej inteligencji innych

narodów" — jak słusznie podnosi Zdzisław Dębicki w swem świeżem studjum o inteligencji polskiej.

Ale trzeba to mocno podkreślić, że tworzywo, z którego rodzi się ta inteligencja polska, mianowicie lud polski — jest równie szlachecki, w postawie i treści duchowej, jak ona.

Dlatego kultura polska pozostanie szlachecką, choć widzimy, jak wybitnie swojski, narodowy charakter, uzgadniający ją w sposób naturalny z dążeniami ludowymi, oraz nowożytna orientacja pod hasłem przewagi zupełnej interesów ludowych — wnoszą do naszej kultury żywotny pierwiastek demokratyzmu. Ten pierwiastek jest zarówno wynikiem poczucia historycznego, jak koroną rozwoju nowoczesnego Polaka.

„Polski socjalizm“, niszcząc polską kulturę, a co za tem idzie wszelką kulturę w Polsce, jest tedy przeczeniem samem w sobie i to, co jest narodowego wśród socjalistów polskich, winno mężnie i z honorem odrzucić wreszcie cały balast mętów obcych i doktryny „prawowiernej“ i dać się wchłonąć z powrotem przez naród, który tendencje społeczne odczuwa dzisiaj coraz intensywniej, nieledwie żywiłowo, i daje ujście wszelkim pierwiastkom ludzkości, nadmiar opromienia je niedostępnym socjaliście swoistym ideałem.

Obecnie socjaliści, przeczuwając ustalenie się stosunków, sprzecznych z ich ciasnymi widokami, wygrywają w Polsce ostatnią swoją stawkę, do podjęcia tego ataku na własne społeczeństwo ściągając wszystkie swoje siły.

To jest coraz widoczniejsze.

Temniemniej i właśnie dlatego opinia polska winna im przeciwstawić akcję solidarną, tem lepiej zorganizowaną, dotrzeć do źródła zdradliwego zła i wyrwać je nareszcie odważnie z korzeniem, sięgając głębiej i choćby rozkrwawiając sobie łono.

Będzie to dzieło wielkie — obrony praw zwierzchniczych narodu.

Będzie to dzieło nie tak trudne, bo charakter rolniczy Polski w sposób naturalny chroni ją od socjalizmu, a zwycięstwo uprzemysłowienia Polski będzie dopiero wówczas pełnem zwycięstwem, gdy obierzemy drogę, przeciwną socjalistom, skojarzenia go z agraryzmem, który jest zdolny powalić kapitalizm i odebrać mu rolę rzekomo jedynej pobudki życia gospodarczego dzisiejszej doby.

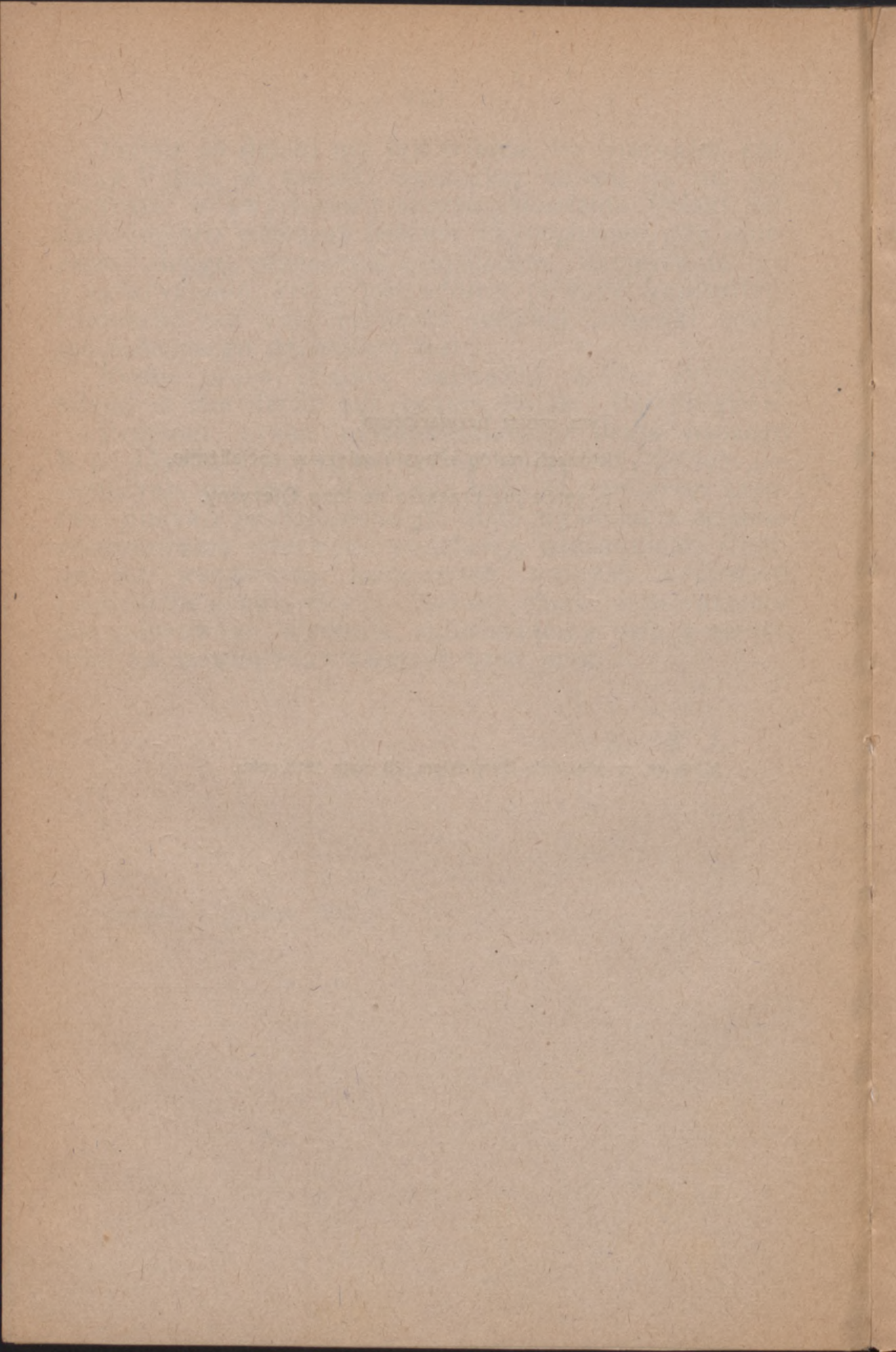
Nasze prace pragną zapewnić sobie skromny udział w tem dziele odzyskania Polski dla Polaków.

Przytem praca niezapomnianego brata naszego ś. p. Józefa, stanowi naturalny wstęp dla dwóch pozostałych, zawiera — choć nie było to zamiarem autora — niejako *prolegomena* do nich: wywodzi w ścisłem rozumowaniu oderwane podstawy, uzasadnienie ogólne dla wszystkich następnych naszych twierdzeń i wniosków praktycznych. Dlatego, choć nieupoważnieni do zbiorowego wydania, skierowujemy uwagę czytelnika na wewnętrzny związek tych prac.

Ks. K. L.
J. L.

Tym moim przyjaciołom,
których nałóg umysłu więzi w socjaliźmie,
a serce już przeszło na łono Ojczyzny.

Moskwa, w więzieniu Butyrskim, 28 maja 1918 roku.



Ś. p. JÓZEF LUTOSŁAWSKI.

(Życiorys).

Autor niniejszej książki urodził się w rodzinnym majątku Drozdowie, pod Łomżą, 28 marca 1881 roku, jako najmłodszy syn ś. p. Franciszka i Pauliny ze Szczygielskich.

Jako dziecko już zdradzał wielką wrażliwość i dobroć, usposobienie nieco marzycielskie i wybitne zdolności muzyczne. Kształcił się w domu wspólnie z bratem, o rok tylko starszym, obecnie księdzem, Kazimierzem, z którym się niemal nie rozstawał aż do późniejszych lat uniwersyteckich.

W naukach szkolnych powolny, z zajęciem i wielką pojętnością oddawał się pod kierunkiem starszego brata, Wincentego, profesora, zagadnieniom filozoficznym, zwłaszcza z dziedziny moralnej. Od wczesnej młodości cechowały go bardzo silne zainteresowania społeczne, które pod wpływem nauczyciela, p. Walerego Karwasińskiego, rozwinęły się w kierunku gorącego umiłowania ludu, zwłaszcza wiejskiego, i bardzo poważnego pojęcia swoich wobec tego ludu obowiązków. Jako 16-letni chłopiec dopiero opuszcza dom rodzinny w Drozdowie, by wstąpić w 1896 roku do VII-ej klasy filologicznego gimnazjum miejskiego w Rydze, które kończy jednocześnie z bratem wiosną 1898 roku, udając się razem z nim również w jesieni tegoż roku na studia do Zurychu. Jako zawód obiera rolnictwo, w studiach szczególnie uwzględnia nauki społeczne i ekonomiczne. Na studiach poznaje też swoją późniejszą małżonkę, koleżankę brata z wydziału lekarskiego, Maryę Olszewską.

W życiu studenckiem owego okresu wybitną rolę grały organizacje socjalistyczne; związany rychło kilku węzłami gorącej przyjaźni z młodocianymi apostołami przewozu, ś. p. Józef nigdy nie mógł pogodzić się z ich umysłową spekulacją socjalistyczną, a po rozłamie, jaki wywołali wśród młodzieży uniwersyteckiej w 1899 roku — wstępuje do organizacyi młodzieży narodowej i odtąd wytrwale i z wielkim zapalem przeciwstawia się zgubnym wpływom socjalistycznej doktryny i organizacyi na umysły i charaktery młodzieży. Zawsze jednak bardzo skromny i cichy, łagodny i przyjacielski, zachowuje stosunki osobistej przyjaźni z przeciwnikami i zdobywa sobie powszechny szacunek, nie szukając w swojej pracy żadnego rozgłosu.

Po ukończeniu Politechniki Zurychskiej wyjeżdża w 1903 r. do Londynu na studia społeczno-polityczne, dokąd wiosną 1904 r. powraca ponownie z zaślubioną wtedy właśnie żoną i gdzie przybywa też na świat najstarszy syn obojga, Jerzy.

W Anglii nawiązuje bliskie stosunki z gronem uczonych i działaczy, związanych z tameczną szkołą nauk politycznych i ekonomicznych, a ze szczególnem zamiłowaniem oddaje się badaniu ruchu współdzielczego.

Jesienią 1905 roku osiada w Warszawie i podejmuje redakcyę tygodnika „Mysł Polska“, przy blizkim udziale dawniejszego nauczyciela swego, Tadeusza Grużewskiego. Zaczyna również brać udział w życiu politycznym, w tajnych organizacyach narodowych.

Praca teoretyczna i publicystyczna zaczyna mu nie wystarczać. Pragnie placówki obywatelskiej, na której mógłby umiłowane zasady wcielać w życie, organizując i tworząc podstawy siły narodowej w życiu społeczno-gospodarczem. W 1908 roku przenosi się też do Drozdowa i obejmuje dyrekcycę browaru Drozdowskiego i administracyę wspólnego z braćmi majątku. — Działalność jego w Łomżyńskiem cechuje wielka energia w pracy z ludem i dla ludu: organizuje i prowadzi Kółko rolnicze, spółkę mleczarską, sklep współdzielczy, bierze udział w Towarzystwie rolniczem i wreszcie w gminie, jako jej pełnomocnik. Lubiany przez wszystkich, gorąco kochany przez sąsiadów-chłopów, żywa się z nimi i tworzy koło siebie ośrodek odrodzenia i rozwoju życia narodowego.

Z wybuchem wojny bierze coraz żywszy udział w życiu publicznem. Staje na czele łomżyńskiego oddziału Polskiego Komii-

tetu Pomocy Sanitarnej, jest współkierownikiem Komitetu Obywatelskiego, głos jego w sprawach krajowych zaczyna być słuchany uważnie na zjazdach i konferencyach w Warszawie.

Od pierwszej chwili wojny nie miał cienia wahania: całkowicie i niepodzielnie skierowuje wszystkie swoje wysiłki do wzmożenia udziału Polski w walce przeciwko Niemcom. Bardzo jasno widzący wytyczne wielkich wypadków politycznych, nie miał najmniejszej wątpliwości, ani co do naszego w wojnie stanowiska, ani co do ostatecznych jej dla Polski wyników. W najcięższych chwilach i na wygnaniu pozostał w tej sprawie niezachwianym optymistą.

W 1915 r., przy powszechnej niemal w łomżyńskim panice, stanowczo przeciwstawia się myśli wyjazdu i opuszczenia kraju. Jeszcze ostatniego dnia do późnego wieczora układa z pracownikami swoimi warunki pozostania na miejscu. Niestety, w nocy fala jakimś nieubłagany przymusem, wbrew jego woli i zamiarom, wszystkich zabiera ze sobą. Z goryczą wielką i smutkiem, ale też z męstwem idzie na przymusową tułaczkę, ze łzami żegnając Drozdowo, którego już nie miał oglądać, 10 sierpnia 1915 r.

Przebywszy długą, kilkotygodniową drogę z rodziną, wśród niej z posuniętą w wieku matką, do Mińska kołmi, stamtąd jedzie do Moskwy, gdzie zaczynała się organizować praca ratownicza dla wygnańców.

W ciężkiej tęsknocie wygnania i w gorzkim poczuciu przymusowego rozstania z placówką właściwej pracy obywatelskiej, której nieopuszczanie miał sobie za obowiązek, była jedyną pociechą ta świadomość, że rzesze ludu wygnanego wymagały koniecznie troskliwej opieki, której zorganizowanie było zasługą Centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego. Tej pracy na wygnaniu ś. p. Józef poświęca najlepsze swe siły. Staje na czele Okręgu Rjazańskiego C. K. O.; podczas kilkomiesięcznej nieobecności swego brata, Marjana, zastępuje go na stanowisku pełnomocnika szczególnego i kierownika Rejonu Środkowego C. K. O., na dwanaście centralnych gubernii rosyjskich. W pracy tej wykazuje świetne zdolności organizatorskie, a w szczególności głęboką znajomość duszy chłopca polskiego i umiejętność skierowywania jego życia ku dobru narodowemu. Zwłaszcza działaniem zajmował się z wielkim oddaniem. W tym czasie współpracuje w „Ognisku“, tygodniku, wydawanym przez Radę Zjazdów

dla wygnańców, i umieszcza tam pełne serca i rzetelnej troski o dobro ludu wygnanego „Listy do sąsiadów“, na które rozproszeni sąsiedzi drozdowscy i inni odzywają się serdeczną korespondencją.

Po wybuchu rewolucyi, gdy i skupienia wygnańcze musiały na obcym gruncie przejść przez obcą zarazę, umiejętnym i szczerym postępowaniem ochrania powierzone mu okręgi przed nią, i pozyskuje coraz głębsze ich zaufanie. Od tych chłopów-wygnańców też posłuje na Zjazd Polityczny Emigracyi do Moskwy w lipcu 1917 r. W tym czasie wstępuje do redakcyi tamtejszej „Gazety Polskiej“ i w licznych, z dużym talentem pisarskim i politycznym pisanych artykułach broni na szerokiej arenie życia wygnańczego—zawsze bez zastrzeżeń wyznawanego programu walki czynnej o zjednoczoną i niepodległą Polskę.

W lutym 1918 roku, po Zjeździe Kijowskim, zostaje kooptowany do Wydziału Wykonawczego Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego, gdzie obejmuje kierownictwo Wydziału Wojskowego, a pod nieobecność czasową prof. Stanisława Grabskiego także zagranicznego. Była to chwila przejścia przez front Żelaznej Brygady. Na wygnaniu rzesze jeńców zwłaszcza odezwały się na wieść o bohaterskim czynie Karpateczyków. Wydział Wojskowy Rady Polskiej czyni gorączkowe przygotowania dla dostarczenia kadrom drugiej brygady tysięcy nowych żołnierzy. Józef Lutosławski jest duszą tej roboty. Wierny zasadzie absolutnej neutralności w wewnętrznych walkach rosyjskich, zwraca się do naczelnych władz, wówczas już bolszewickich, z umotywowanem żądaniem umożliwienia bohaterskiej brygadzie wraz z ochotnikami z Rosyi przejazdu do Francyi, tak jak Czechom. Pertraktacye rozbijają się o opór stanowczy Komisaryatu Polskiego.

Pomimo całej życzliwości Misyi wojskowej francuskiej, dopóki na terenie wschodnim żaden punkt nie był bezpieczny od bolszewickiego terroru — akcyja wojskowa była niezmiernie utrudniona. Wydział Wojskowy pracuje tedy pod kierunkiem ś. p. Józefa nad organizacją sił polskich w oczekiwaniu sposobnego momentu dla tworzenia wojska.

Tymczasem akcyja C. K. O. w zakresie gotowania szybkiego powrotu wygnańców zaniepokoiła mocno Komisaryat Polski bolszewicki, który umyślił sobie przez wzięcie w swoje wyłącznie ręce sprawy powrotu urobić wygnańcze rzesze na modłę bolszewicką. Pogłoska o jakichś instrukcyach, otrzymanych z Warszawy w tej

mierze, dała powód do rewizyi w mieszkaniu pełnomocnika głównego C. K. O. dla akcyi powrotu do kraju, ś. p. Maryana Lutosławskiego, we wtorek dnia 23 kwietnia 1918 r. Ś. p. Maryana zaraz aresztowano. Przypadkiem wzięto przytem i tekę z papierami Wydziału Wojskowego, należąca do ś. p. Józefa. Powtórna rewizya we czwartek 25 kwietnia, aczkolwiek nie więcej nie dostarczyła, spowodowała aresztowanie i jego. W ten sposób została nagle przerwana jego wyteżona, a tak owocna działalność.

Komisaryat Polski postanowił za wszelką cenę obu braci się pozbyć: zbyt groźni to byli działacze dla żydowsko-socjalistycznych planów w odradzającej się Polsce. W papierach ś. p. Maryana znaleziono odpisy tajnego traktatu, podpisanego w Stawce 22 grudnia 1917 roku, między przedstawicielami Komendy Armii niemieckiej i rządu Leninów i Trockich. Układem tym podpisanym między innymi przez osławionego Dzierżyńskiego, prezesa Nadzwyczajnej Komisji Śledczej do walki z kontrrewolucją oraz przez Krylenkę, Prokuratora Generalnego Sowieckiej władzy, sprawę polską oddawano całkowicie w ręce niemieckie, pozostawiając natomiast bolszewikom swobodę agitacji w Polsce. Dostarczyło to pretekstu do oskarżenia obu braci o fałszerstwo i podrobienie, oskarżenia, oczywiście, na żadnych nawet pozorach nie opartego. Poza tem oskarżenie obejmowało zarzut formowania oddziałów „kontr-rewolucyjnych“ — chociaż akcyą cała była podejmowana z wiedzą władz sowieckich, a celem jej był wówczas wyjazd do Francyi: frontu czesko-słowackiego jeszcze nie było. Oskarżenie całe było oburzającym oszczerstwem i żaden sąd na świecie nie byłby go mógł przyjąć. Ale tam sądu nie było, tylko była zemsta. Można było oczekiwać najgorszego. Ratunek mógł przyjść tylko z Warszawy, Warszawa zaś działać mogła tylko autorytetem niemieckim — a działalność obu braci była, oczywiście, całkowicie skierowana przeciw Niemcom. Przytem Warszawa nie dosyć była poinformowana o grozie położenia: w czerwcu nawet przedstawicielstwo polskie w Moskwie telegrafowało do Warszawy, że obaj uwięzieni są już wolni! Naturalnie to nie przyczyniało się do pobudzenia czujności i energii ratunku.

Zresztą, zapewne żadne zabiegi nie byłyby pomogły. Do sprawy „sądowej“ wogóle nie doszło, choć oskarżonym wręczono akt oskarżenia w połowie sierpnia. Wypadki polityczne tak biegły, że z dniem każdym pogarszały położenie uwięzionych, niez-

leżnie od ich osobistej „winy“. Wreszcie zamach na Lenina groźną chmurą zawisł nad losem wszystkich, choćby podejrzanych o „kontrrewolucję“.

Zemsta zbrodniarzy miała uzyskać satysfakcję przez masowe egzekucyje. Bracia Lutosławscy w rzędzie kilkudziesięciu innych „wrogów wolności“ padli od kul łotewskich w lesie za wsią Wsiechświatskoje pod Moskwą, dnia 5 września 1918 r., na dni kilka przed rzekomo wyznaczonym terminem „rozprawy sądowej“. W całej ich działalności ani jeden krok nie był wymierzony przeciwko władzy „sowieckiej“.

Ale „wrogiem anarchii“ ś. p. Józef Lutosławski był istotnie. Każdy uczciwy i myślący człowiek musiał się nim stać podczas ohydnej orgii w rosyjskiej otchłani bolszewickiej. I w więzieniu, powracając myślą do młodzieńczych swych przyjaźni z socyalistami, dojrzał konieczny i zabójczy związek, jaki istnieje pomiędzy podstawowymi zasadami socyalizmu a przepaścią, w której musi zginąć Ojczyzna. Z rozmyślań nad tym tematem, i z miłości do ludu polskiego, o którego zdrowie moralne i przyszłość mógł brać lęk w tych warunkach, — powstała niniejsza książka.

Odbija ona głęboką i pogodną duszę jej autora, urobioną religijnie przez niezapomniane nauki dzieciństwa od głęboko wierzącej Matki czerpane; temu niewątpliwie też zawdzięcza, że przez cały czas pięciomiesięcznego więzienia, ani chwili nie stracił wiary w mądre kierownictwo opatrnościowe spraw ludzkich, i wszystkie myśli skupiał na twórczej pracy dla przyszłości tej Polski, której zorzę wschodzącą widział z odległej swej celi więziennej, pewny zwycięstwa.

Dodany do niniejszej pracy portret ś. p. Józefa Lutosławskiego pochodzi z bardzo wiernego zdjęcia — jednego z ostatnich — zakładu A. Masłowskiego w Warszawie. Wysoce artystyczne odbicie na kredowym papierze podjął się łaskawie wykonać i ofiarował wydawnictwu p. Bol. Wierzbicki. *Wyd.*

PRZEDMOWA.

Z wielkiem wzruszeniem czytałem rękopis tej książki. Czy autor, pisząc ją, przewidywał śmierć swoją? Mamy prawo myśleć, że tak. Znalazł się w rękach samowoli, szalonej żądzą krwi i zemsty; wiedział, że nie przypadek wtrącił go do więzienia, lecz rozmyśl komisarjatu „polskiego“, który miał za zadanie usuwać przeszkody z przed bolszewizmu w Polsce; wiedział, że on i brat jego Maryan są nienawistni tym, którzy przygotowują zamach od wewnątrz na Polskę, aby ona nie mogła zorganizować się w państwo samodzielne i silne; wiedział, że w Moskwie, gdzie byli na emigracyi, nazwisko ich wywlekała na forum publiczne prasa socjalistyczna i demokratyczna, jednomyślna w nienawiści do nacjonalizmu polskiego od czasu rewolucyi w Królestwie w r. 1905 i rozumiał głęboki sens tego porozumienia przeciwko Polsce narodowej, którego osobiście padał ofiarą.

Wrogowie jego znaleźli siłę, druzgoczącą wszelkie tamy, w hasle socyalno-ekonomicznem: *chleb*. W stolicy Rosyi, która zapadała się ze swoją cywilizacją, pod działaniem ślepej siły tego hasła, w bezdeń historyczną, znalazł się w niewoli ze swoim sztandarem: *Ojczyzna*.

Nie miał na myśli ludzi, daleka mu była nienawiść i troska o los osobisty; całą myśl jego pochłonęło zagadnienie ludzkie, tak tragicznie w Rosyi rozwiązywane: *chleb — czy Ojczyzna*.

— Nie nademną płacicie — tak mówią jego mądre oczy, przezierające z pośród wierszy rękopisu — ale nad dziećmi waszemi!

Tak idą ku ofiarze ludzie głębokiej wiary w ideę, z Chrystusowemi słowami na ustach. Kataklyzm, który go porwał, był punktem wyjścia tej książki, ale pisząc ją, ani razu gniewem się nie uniósł. Dąży do zrozumienia przeciwników, aby im wybaczyć, bo nie wiedzą, co czynią.

Krzyżują oni ideę Ojczyzny, ale ona jest nieśmiertelna. On widzi ją, jako realne istnienie, żyjące duszą i ciałem.

Oto głębokie wyznanie Lutosławskiego:

— „Nie mam — powiada w jednym miejscu — bardziej przekonywującego dowodu *istnienia*, jak miłość... *Kocham Cię, więc jesteś!*“

Formuła — godna wielkiej tradycyi uduchowionego myślicielstwa polskiego, które nigdy nie szukało pewności gdzieindziej, jak tylko w sercu. Niepodobna dobrać dla ducha polskiego i dla całej rasy aryjskiej zawołania bardziej istotnego, bardziej godnego tej szlachetnej krwi, jak owo Józefa Lutosławskiego: „*Kocham Cię, więc jesteś!*“

Czytając jego książkę, mamy ciągle w oczach postać Aryjczyka w doskonałej kulturze chrześcijańskiej. Szuka on rozwiązania dręczących ludzkość zagadnień socyalnych i ekonomicznych w organicznym rozwoju człowieka, jako tworu przyrody, gdzie jest źródło powszechnej miłości.

Lutosławski wywodzi pojęcie Ojczyzny z faktu istnienia miłości. Nie pozwala na żadną w tym względzie spekulację umysłową. Jest to fakt dostępny poetyckiej intuicji kochającego serca.

W czasach najnowszych, na tle szybkiego rozwoju cywilizacji materyjalnej, wyhodowała się nauka socyalizmu, który podniósł do wyżyn idei — nienawiść. Powstała z tej kultury jakby odmienna rasa, operująca światopoglądem niewolników, którzy dążą do wyzwolenia przez zdobycie dóbr materyjalnych. Do tej rasy należą nietylko socjaliści, ale i burżuazya kapitalistyczna, nie wiedząc nawet o tem, że na gruncie ogólnych ideałów zasadniczo nie ich nie różni.

Świat rozpada się na obozy nie według hasel socyalnych, jak się to wydaje socyalistom, lecz według typu kultury duchowej. Jedni znajdują szczęście w szczęściu Ojczyzny, inni zaś w solidarności narodowej widzą ucisk, od którego wyzwolić się trzeba, aby znaleźć własne szczęście.

Wszyscy po wszystkie czasy dążą do wolności i szczęścia. „Cała tajemnica szczęścia ludzkiego — powiada Lutosławski — polega na tem, że osiągnąć je nie ci, co do niego dążą“. Kto tę tajemnicę posiadał za sprawą głębszej kultury chrześcijańskiej, ten wie, że daremna jest pogoń osobista za szczęściem, i że „nie ma szczęścia równie pełnego, równie bujnego, jak wielki tryumf w życiu narodowym“.

Teorye Marxa stanęły na drodze kulturze tego typu i wytworzyły odmianę człowieka okrutnego przy naiwności filozoficznej. Teorje te z gruntu materialistyczne, upatrujące w życiu ludzkim jeden tylko twórczy moment — walkę z nienawiścią i zawiścią, poza tem zasadę mechanicznego rozwoju, przeciwstawiają się pojęciom organiczności życia z czynnikiem zasadniczym miłości.

Prąd ten wytworzony w Europie przez umysłowość rasy semickiej na podatnym gruncie niemieckim po reformacji, starł się z cywilizacją chrześcijańską na wszystkich polach, nietylko w zagadnieniach socyalnych. Przeciwność ta uwydatniła się jaskrawo podczas tej wojny, która przyspieszyła rozkwit życia narodowego. Oto wojna narodów się kończy, a walka tych obywateli trwa dalej w łonie poszczególnych społeczeństw.

Biada narodom, które nie przerobiły jeszcze mas ludowych w kulturze chrześcijańskiej! Straszny przykład daje Rosya. Któż żywiej mógł ujrzeć tę prawdę, jak nie ten właśnie natchniony miłością Ojczyzny Józef Lutosławski, kiedy w więzieniu rozmyślał nad tragedją zwodzonej hasłami szczęścia prywatnego ludzkości?

Szatan kusił Chrystusa, aby zamieniając kamienie na chleb, pociągał za sobą ludzi. Był to ten sam dylemat ludzki: chleb i ojczyzna. Chrystus odrzucił prowokacyę; do wolności i do szczęścia wskazywał drogę przez twórczość wewnętrzną. A dusze niewolników, nie zdolne do pojęcia takiego wyzwolenia, umęczyły Go na krzyżu.

Genjalny poeta duszy rosyjskiej, Dostojewski, w jednej ze swych powieści nakreślił fantastyczną rozmowę autokraty ziemskiego z Chrystusem.

— „Mówiłeś, że człowiek nie samym chlebem żyje. A czy wiesz, że w imię tego chleba powstanie przeciwko Tobie duch zie-

mi, zmierzy się z Tobą i pokona, a wszyscy za nim pójdą... Gdzie był kościół Twój, stanie straszna wieża Babel...“

Autokrata Dostojewskiego wiedział ponadto, że dusze niewolników muszą się zmęczyć budowaniem tej wieży i rozumieją, że wolność i chleba dostatek nie są do pomyślenia razem, bo niewolnicy nie potrafią podzielić się nim sami. Więc przyniosą do dawnych władców wolność swoją, wołając: „Bierzcie nas w jarzmo, ale nakarmcie“.

W Rosyi tak się pewno skończy — tam ludność błaga o jarzmo. Ale w Polsce, gdyby górą pójść miała tak pojęta idea chleba ponad ideą Ojczyzny, nie moglibyśmy myśleć o zachowaniu nawet zewnętrznej samodzielności politycznej. U nas przeto walka Chrystusa z szatanem miała i mieć będzie głębokie znaczenie polityczne.

Niepospolita wartość książki Józefa Lutosławskiego byłaby oceniona należycie w każdym czasie, ale w warunkach, w których powstała i w których ją teraz czytamy, jest ona pozatem świętością, jak testament.

Kto znał przeczystą, natchnioną duszę Lutosławskiego, ten wie, że pisał on tę rozprawę, jak modlitwę. Wiarę w swój ideał życia przypieczętował śmiercią; krwią serca pisał swój testament.

Ta wiara sprawiła, że nie skonało mu serce, gdy szedł na stracenie. Nie widział katów i karabinów, do siebie skierowanych; umierał w jasnowidzeniu Ojczyzny. Ujrzało Ją kochające serce przez purpurę krwi swojej w blaskach wschodzącego słońca polskiego:

Jesteś! — Kocham Cię, więc jesteś!

12. XI. 1918 r.

Zygmunt Wasilewski.

I.

ANTAGONIZM MIĘDZY CHLEBEM I OJCZYZNĄ.

Są dwie ziemskie sprawy, które zwykły człowiek bierze bardziej na seryo od wszystkich innych — to praca zarobkowa i służba w wojsku. I w jednej i w drugiej chodzi o życie. Chodzi przede wszystkim o życie indywidualne: tu wchodzi w grę utrzymanie życia i rozwój, — tam chodzi o gotowość złożenia go w ofierze. I niema spraw, w którychby poważniej, pełniej wyrażało się wogóle życie ludzkie. Bo cóż to jest *życie ludzkie* w tem wielkiem zjawisku przyrodzonym, jakim jest życie powszechne na ziemi? Jakież są przejawy człowieka w przyrodzie? Ludzie myślący i piszący tworzą sobie świat sztuczny, który najkompletniej jest przedstawiony w wielkiej bibliotece. Ale życie samo jest poza książkami. Ono powagą swoją znacznie przerasta świat książek. I człowiek pchany żądzą *poznania* życia nadarmo szukałby go w studyach. Posiąść można wszystkie książki i wszystkie nauki, a nie zaznać smaku życia.

Człowiek zmęczony książką ucieka do przyrody, — szuka w niej bogaetwa i powagi, której nie daje książka. W najpoważniejszej nauce, jest coś pajęczego, w czem nie czuć krwi i kości. Jest w człowieku zwyczajnym pożądanie, by znaleźć *przyrodzone* w życiu ludzkim, by żyć nie nadbudową lecz samym mięszem życia ludzkiego. I tym mięszem życia ludzkiego jest przede wszystkim praca ekonomiczna i wojna. Jedno jest dla chleba drugie dla ojczyzny.

Chleb i ojczyzna, jako cele człowieka, wchodzą niekiedy w ostry i gorzki konflikt. Nietylko w czasie wojny. Tu oczywiście służba ojczyźnie wymaga wyrzeczenia się całego programu pracy na chleb, choćby był najrozumniej i najenotliwiej opracowany. Ale i poza wojną. Przypomina się piosnka: „Góralu, czy ci nie żal porzucac gór swych i hal?... — Klaj trzeba — dla chleba“—brzmi odpowiedź. Pieśń ludowa jest zawsze bliska przyrodzonych faktów życia ludzkiego. Ojczyzna chciałaby synów swych gromadzić i przy sobie utrzymać, a dla chleba muszą iść w obce kraje.

Były czasy, kiedy sprawa chleba nie klóciła się ze sprawą ojczyzny. Ale leży w przyrodzeniu rzeczy, że z rozmnożeniem liczby ludzi, ojczyzna nie starczy, w dodatku z samego faktu rozmnożenia liczby ludzi, sprawa chleba robi się trudniejszą i więcej absorbuje człowieka niż sprawa ojczyzny.

To też rozwój tych trudności wyolbrzymił sprawę chleba przez ostatnie 150 lat w świecie cywilizowanym do takich rozmiarów, przy których stała się wprost groźną dla sprawy ojczyzny. Zajęła pierwsze miejsce. Rozpanoszyła się. Zaczęła narzucać swoją przewagę. Do tego stopnia, że przyszedł wiek, kiedy starano się dowieść, że sprawy ojczyzny nigdy naprawdę nie było. Że i wojny wreszcie były, są i będą tylko sprawą chleba. A ponieważ zdrowy sens dyktował, że dla utrzymania życia nie warto życia tracić, że sprawa chleba nie warta wojny, więc przewidywano, że wojny nie-długo wcale nie będzie, bo życie to w gruncie rzeczy jest tylko sprawą chleba.

Aż oto ojczyzna upomniała się o swoje prawa i przyszła wielka wojna. I okazało się, że sprawa ojczyzny jest wiele ważniejsza, niż sprawa chleba. Tylko, że ta ostatnia jest taka, której żadnym sposobem odsunąć nie można. Ona jest zawsze. I jeśli przez ostatnie 150 lat zrodziła olbrzymie trudności, to wojna tych trudności nie zmniejszy. Po wojnie wystąpią one na nowo z całą grozą. Tylko że już żadną miarą sprawa chleba nie będzie mogła zabijać sprawy ojczyzny, bo zbyt bolesna była zemsta Ojczyzny. Pomimo wszystko ojczyzna jest pierwsza. I myśl ludzka będzie musiała pójść za głosem życia i dążyć do pogodzenia sprawy chleba i sprawy ojczyzny. Dziś już widać jasno, że bez tego *życia ludzkiego* być na ziemi nie może.

II.

KWESTJA SPOŁECZNA.

Kwestya społeczna jest stara jak świat. Pierwsze postawiło ją Chrześcijaństwo. Szerząc się wśród niewolników Rzymu, było ono pierwszym wielkim ruchem rewolucyjnym. Ale dopiero w dziewiętnastym wieku kwestya społeczna przybrała swoją formę nowożytną, której swoistą cechę stanowi to, że zarówno jej postawienie jak drogi rozwiązania znalazły się jakby zupełnie i wyłącznie w dziedzinie życia ekonomicznego. Jeszcze Rewolucya Francuska stawiała kwestyę społeczną w dziedzinie politycznej. Wyzwolenie mas rozumiało się jako wyzwolenie polityczne z pod przewagi przywilejów dynastycznych i kastowych. Równość, w której widziano jej rozwiązanie, to równość polityczna, równość przed prawem, jednakowa dla wszystkich wolność. Dopiero socjalizm wieku 19-go dowodził, że wolność polityczna jest iluzoryczna, bo człowiek nieposiadający pozostaje w niewoli ekonomicznej.

Przypomnijmy sobie schematycznie powstanie i postać tego co rozumiemy pod współczesną kwestyą społeczną.

W drugiej połowie 18-go wieku rozpoczął się okres niezwyklego ożywienia życia ekonomicznego w Zachodniej Europie. W tym rozwoju przodowała Anglia; tam właściwie powstały wszystkie pojęcia związane z współczesnym stanem kwestyi społecznej. Na Anglii też robił swoje studia Marx.

Owóż to ożywienie życia ekonomicznego objawiło się w najrozmaitszych dziedzinach. Ale bodaj że pierwotną sprężyną, powstałą ze zrzędzenia losu lub może Opatrzności, były liczne wynalazki techniczne, które doprowadziły do szybkiego tanienia i mnożenia wytwórczości. Za tem poszła łatwość zdobywania bogactw przez przedsiębiorcze jednostki. Z tego wynikły korzyści dla państw i rządów. Z tego też powstał olbrzymi zwrot myśli ludzkiej do zagadnień ekonomicznych. Jednocześnie zaś powodzenie przedsiębiorców, przechodzące wszelką miarę tego, co dotąd widziano, bogacące się przez to rządy i państwa, ogromny wzrost spożycia wśród szerszych sfer społeczeństwa wskutek stania produkcji, intensywności pracy — wszystko to zasugerowało ludzi jakimś niezwykle optymizmem i beztróską. Nikt specjalnie nie myślał o tem żeby społeczeństwo bogacić, a tu ono samo bogacić się zaczęło

nad miarę zwykłą, — i z tego bogactwa wynikały łatwe korzyści dla państwa, któremu ogromnie ułatwiło to zdobywanie dochodów. Z tego prosty wniosek: nie nie zarządzać w dziedzinie życia ekonomicznego; niech każdy robi, co mu się podoba; oczywiście każdy będzie się swobodnie bogacił, a na tem państwo i społeczność tylko zyska.

„Laisser faire, laisser aller“ — słynna zasada liberalizmu ekonomicznego, miała w usposobieniu ówczesnego ogółu grunt doskonałe przygotowany. Człowiek, dążący do bogactwa, w zwykłych czasach mógłby mieć jakieś skrupuły w wyborze środków. Dawniej nawet prawo krępowało trochę zapędy karyerowiczów. Wreszcie religia nakładała jakieś więzy i zobowiązania moralne. Ale był to wiek „oświecenia“, to znaczy, że blask światła rozumu wyganiał z ciemnych kątów wszelkie przesady. „Oświecony absolutyzm“ kazał nie liczyć się z „kaprysmi“ poddanych, utrudniającymi wykonanie woli monarchy. Podobne „oświecenie“ wyгнаło też prędko z dusz ludzkich wszelkie przesady co do uczciwszych lub mniej uczciwych środków walki o byt.

Połowa wieku 19-go przyniosła ze sobą rzetelne splukanie wszelkich „przesądów“ religijnych. A prawodawstwo znośiło wszelkie skrępowanie. W r. 1848 w Anglii dopiero zdążono znieść prawo zabraniające w dniu targowe skupu towarów na drogach prowadzących do miasta dla podwyższenia ceny na rynku.

Takie prawo stało się zbyteczne wobec nowych pojęć. A ta czynność pod nazwą spekulacji zaczęła stanowić proceder zupełnie uprawniony. Człowiekowi bogacącemu się, który i tak do skrupułów skłonny nie jest, resztę ich odjęła teoria szeroko uzasadniana, że bogacąc się człowiek przynosi korzyść społeczności. Wytworzyło się specjalne pojęcie „człowieka gospodarczego“, który odznacza się wyłącznie jedną cechą — bezwzględnej żądzy bogactwa, bez ograniczenia miary i sposobu zdobycia; uznano za prawomocną „zasadę gospodarczą“, mocą której prawem życia gospodarczego jest, że jedynym celem czynności gospodarczej człowieka jest zdobywanie bogactw.

Tymczasem ten okres niezmiernego ożywienia życia ekonomicznego skutkiem wynalazków, miał prócz bogacenia szeregu jednostek inny skutek. Maszyna odebrała wielu ludziom zarobek. Nadmiar jakby na przekór okres ten od r. 1760—1820 odznaczył się największym rozrostem ludności, jakkolwiek wiedziano. Ro-

dziło się coraz więcej ludzi, a maszyny coraz więcej produkowały i coraz mniej potrzebowały ich pracy. Zaczęła się niebywała nędza. W Anglii w r. 1842 było 2 miliony ludzi bez pracy. Matki trwały dzieci, nie mogąc ich wyżywić. Teoretycy Ekonomiści na to nie nie umieli odpowiedzieć. Ale „oświecony“ optymizm kazał im dalej w kółko powtarzać: „laisser faire, laisser passer“. „Przyrodzonym prawem — jedynym celem czynności gospodarczej... jest bogacie się“. Zatem myśl o tych 2 milionach nędzarzy należy do nich samych. Rozwój ekonomiczny tego okresu miał dwie silne i wprost przeciwne tendencje: bogacenie przedsiębiorców, ubożenie robotników.

Oto było tło, na którym pojawił się na świecie Marx. Przejęty nawskroś duchem swego czasu, nie znalazł i nie szukał nawet lekarstwa na zło, które spostrzegł. Ale znalazł w niem przebogaty materiał do spekulacji umysłowej. Umysł niepospolicie przenikliwy, sięgnął w analizie zadziwiających zjawisk ekonomicznych dużo głębiej od wszystkich dotychczasowych uczonych ekonomistów. Ale do gruntu obcy wszystkiemu coby miało jakiś odcień nawet zmysłu praktycznego i zdrowego sensu, nie dał swoją pracą ani jednej wskazówki praktycznej, któraby mogła poradzić na wielkie nieszczęście szerzącej się nędzy. Bo nie miał w duszy miłości. Gdyby ją miał, wiedziałby, że nędza nie czeka. — Zresztą był on tak dalece przejęty duchem swego czasu, że zgóry przyjął psychologiczne podstawy jego teorii. I Marx wszak twierdził: 1) że nie należy w życiu ekonomicznym nic zarządzać; na zło rady niema, ono samo się wyplenie musi idąc swoją krwawą drogą, oraz 2) że człowiek jest zwierzęciem gospodarczem, że naprawdę przodującym celem życia są tylko jego interesy ekonomiczne. Cała ta epoka—Ricardo w zgodzie z Marxem—dowodziła, że człowiek na seryo traktuje *tylko chleb*. Wierny syn epoki „oświecenia“ nie lubił i Marx tych ciemnych zakątków, w których tają się rzeczy niezrozumiałe i mistyczne; przenikliwością swoją dążył do niemiłosiernego ich wyczyszczenia jak skrawem światłem *rozumu*, bezwzględnym cynizmem, stanowczym potwierdzeniem rzeczy *zrozumiałych*. Rzucające się w oczy fakty dziejowe dowodzące, jak rozpaczliwie *na seryo* człowiek bierze nieraz rzeczy obce ekonomii i mało zrozumiałe, skrętnie w rękach obracał dla wykazania, że to tylko pozory, że za wszystkimi pozorami pobudek moralnych kryje się zawsze jeden i ten sam cel istotny ludzkich zabiegów — interes ekonomiczny — chleb. Zbu-

dował swój misterny gmach materjalizmu dziejowego: nigdy myśl ludzka nie zbudowała gmachu równie urągającego zdrowemu rozsądkowi.

Ale operując na tle owej epoki „rewolucyi przemysłowej“ — Marx dostrzegł w niej rzeczy nowe, które obce były dla jego poprzedników. Tamci oślepieni byli niezrównaną twórczością egoizmu ekonomicznego, bezwzględnej walki o byt między jednostkami; Marx dostrzegł siłę inną, niemniej potężną, choć jeszcze bardziej poziomą, siłę, która, należycie pielęgnowana i karmiona, mogła stać się potęgą nierównie większą od „wolnej konkurencji“. Spostrzegł i należycie ocenił prosty fakt, że wskutek bogacenia jednostek i ubożenia mas, w tych ostatnich rodzi się i rośnie naturalnie przyrodzone uczucie *zawiści*. I znowu wierny syn epoki oświecenia z pogardliwym uśmiechem tępił myśl, że ta siła rodząca się ze zła, zle porodzi, że człowiek ze złem walczyć winien, że zadaniem twórców jest mnożyć dobro dla walki ze złem. Dobro siedziało podówczas w ciemnych zakątkach rzeczy niezrozumiałych, a ta siła była jasna, prosta i wielka. Zajął wobec niej znów to samo stanowisko przyrodnika wobec przyrody: „laisser faire, laisser aller“. Poszedł jednak dalej. Siłę tej przypisał znaczenie twórcze i cały wysiłek myśli swej poświęcił, aby ją wypielęgnować, wykarmić, wzmocnić. Obserwując na zjawiskach poprzedzającej go epoki, jaki rozpęd egoizmowi ekonomicznemu dało głębokie uzasadnienie jego społecznej użyteczności i jego moralnej prawości, przedewszystkiem poświęcił się daniu tego uzasadnienia nowej siłę, na której budował przyszłość. I tu leży kamień węgielny całego znaczenia dziejowego Marxa; w tem też wykazał najwięcej twórczości i oryginalności jako uczony.

Biedny człowiek może zazdrościć bogatemu, i usprawiedliwić te swoje uczucie krzywdą wynikającą z nierówności. Tu uczucie zazdrości może породzić dążenie do naprawienia krzywdy, dążenie opromienione pewnym, choć bardzo szarym i ubogim — *ale ideałem* równości. To nie rokowało nadziei wielkiej siły dla ludzi owej epoki nie wierzących w ideały. Trzeba więc było Marxowi oprzeć się nie na zazdrości, a na zawiści, wyrażającej się przedewszystkiem *w pożądanju* przez biedaków dóbr bogaczy. Wzorem klasycznej Ekonomii Politycznej ukazującej bezwzględny egoizm zarobkowy jako siłę twórczą i uprawnioną, usiłował Marx udowodnić, że zawiść ta jest siłą twórczą i przedewszystkiem uprawnioną. Dla

wykazania, że jest uprawnioną stworzył swoją teorię wartości opartej na pracy i dowodził, że robotnik ma rację pożądać zysków; przedsiębiorcy, bo te zyski jemu się *należą*. Dla wykazania, że jest siłą twórczą stworzył teorię walki klas, w której dowodził, że cały postęp ludzkości odbywał się wyłącznie drogą walki klas niższych z wyższymi. Każda klasa, która stanęła u steru, znajdowała pod sobą klasę upośledzoną, na którą znów przychodziła kolej. Wreszcie miał przyjść okres, w którym ostatnie resztki klas upośledzonych się podniosą z ziemi i zaprowadzą taki ustrój, przy którym nie będzie upośledzonych. Tym ustrojem będzie socjalizm.

Taki szematyczny obraz Marksyzmu drażni tych, którzy delektują się rozkoszą spekulacji umysłowej tak bogato rozwiniętej w dziełach Marxa. Upojeni tą spekulacją, obrońcy jego lubią twierdzić, że domniemana jednostronność Marxa jest nieprawdą; Marx znalazł i cenil wszystkie idealne strony natury ludzkiej i wszystkie one znalazły w jego wielkim gmachu swoje miejsce. Czego nie znaleziono w Marxie, to pokazywano w innych myślicielach tego samego kierunku. Ale wszyscy ci ludzie nie chcą widzieć jednego faktu, że socjalizm współczesny, jako zjawisko dziejowe, nie istnieje tyle w księgach, ile w umysłach ogromnej masy prostych ludzi, i że właśnie to stanowi szczególną cechę Marxa (jak zresztą i klasycznej ekonomii), że tym puchem niesłychanie zawilej spekulacji otoczyli tylko pewne rozumowania niezmiernie proste i szematyczne, i że tylko te rozumowania — które staraliśmy się powyżej zobrażować — są realnie działającą siłą. I to siłą ogromną.

Właśnie wniesienie całej energii umysłowej do prostych spraw chleba było tą najznamienniejszą cechą epoki rewolucji przemysłowej, i stało się bodźcem olbrzymiej dynamiki życia ekonomicznego. I cały socjalizm można rozumieć tylko właśnie na tle tej specjalnej epoki. Tak jak z zawilego gmachu liberalnych teorii ekonomicznych, działacze praktyczni zaczerpnęli niemal jedną prostą myśl wyrażoną w słowach: „laissez faire“ — tak i z jeszcze zawilszego gmachu socjalizmu Marxowskiego działacze praktyczni zaczerpnęli kilka prostych myśli. I jedni i drudzy za to spali spokojnie w przeświadczeniu, że te ich myśli są *prawdą*, opartą o murowaną podstawę, boć przecie oparte są o tak ogromnie długie i zawile dowodzenia.

Działacze państwowi opierający się na klasycznej ekonomii, wielokrotnie może zaglądali do tych dowodzeń, jako ludzie wy-

kształceni. Działacze socjalizmu zaś — to w pierwszej linii agitatorzy, którzy tembardziej dowodzenia przyjmują na wiarę i operują tylko gotowemi schematami. I ponieważ ten schemat jest dla nich ustawiczną praktyczną potrzebą, więc ich umysły już uległy przekształceniu. Oni już nie *myślą*, oni posługują się schematem. Te umysły są już raz na zawsze umebłowane pewnemi pojęciami; dla nich niema innych stosunków między ludźmi jak bądź solidarność klasowa, bądź eksploatacja; dla nich niema innych interesów ludzkich, jak ekonomiczne; dla nich niema innej świadomości zbiorowej, jak świadomość klasowych interesów. Naturalnie ten schemat jest z gruntu fałszywy i nigdy nie byłby zdobył sobie tego olbrzymiego wpływu, gdyby nie siła przekonania jego wyznawców, siła oparta znowuż o przeświadczenie, że tam gdzie są ogromne tomy, które wprawiły w zdumienie świat, które wszystkie te fałszywe twierdzenia niezbitcie udowodniły.

Kwestya społeczna w znaczeniu współczesnem powstała wskutek tendencyi ekonomicznych owego okresu rozwoju przemysłowego z drugiej połowy 18 i pierwszej połowy 19 wieku. Istotę jej stanowi to, że ubożenie i połączona z niem niewola mas stała się jakby przyrodzonym wynikiem postępu ekonomicznego. Jednocześnie w świadomości zbiorowej gruntowało się przekonanie, że ten postęp jest bezwzględnie dobrem, że dźwigający go egoizm ludzki jest zjawiskiem przyrodzonym. W łonie ubożających, cierpiących i zaniedbanych przez państwo i zbiorową świadomość społeczeństwa mas powstała z konieczności olbrzymia reakcyja przeciwko prądowi postępu i zrodził się nieopanowany, potężną falą rosnący głód Reformy Społecznej.

Koncepcyi twórczego egoizmu ekonomicznego, przeciwstawiła się z siłą koncepcya *solidarności* społecznej. Ta koncepcya stała się osnową wszelkiej myśli o reformie społecznej i stworzyła nazwę socjalizmu. Pierwotne teorye socjalizmu oparły się na źródłach psychologicznych zupełnie odmiennych od tych, na jakich budował Marx. Źródła te płynęły przedewszystkiem z buntu natury ludzkiej, — natury, w gruncie której przedewszystkiem tkwi miłość, przeciwko potwornemu podziałowi ludzkości przez przepaść sprzecznych interesów ekonomicznych. Chciano konstruować odrazu nową organizacyę wytwórczości, któraby drogą normalnego

rozwoju swego ludzi skupiała, a nie dzieliła. Z tych źródeł powstał socjalizm utopijny, z tych samych źródeł powstał ruch współdzielczy. Jakże się to stało, że nie ten ruch nasycił głód Reformy Społecznej? Dlaczego ten głód znalazł swój pokarm w socyalizmie Marxowskim? Przecież ten socyalizm Marxowski wcale nie jest socyalizmem w tem pierwotnem i powszechnie rozumianem znaczeniu — nie jest ruchem opartym o koncepcyę solidarności, tylko jest właściwie nauką *walki klas*. Przecież w całej ideologii Marxowskiego socyalizmu ostateczna faza nowego ustroju, jest we mgle nieokreślonej przyszłości, a jedynie ważne i praktyczne jej recepty nie sięgają poza najbliższy rezultat nieubłaganej walki klas — rewolucyę społeczną.

Są tu czynne dwie główne przyczyny. Przedewszystkiem głodne reformy społecznej masy nie mogły się zadowolić wykrójonemi z życia małemi warsztatami, — jakimiś koloniami komunistycznemi, czy stowarzyszeniami współdzielczemi. Nasroju mas ogromnie odpowiadało w rachku Marxowskim to, że warszattem reformy stawało się całe życie ekonomiczne. — A druga przyczyna, może jeszcze głębsza, to ta, że umysł ludzki był już zdeprawowany cynizmem i materjalizmem swojej epoki, i że ruch Marxowski nietylko nie wymagał wyrzeczenia się tych nałogów, nie kierował ludzi do odległej od nich szlachetności i idealizmu, — ale właśnie na tym cynizmie i deprawacji budował. Dlatego właściwie Marx nie był reformatorem społecznym, był myślicielem, który uzasadnił walkę klas i puścił w oczy mgłę różową przyszłego ustroju socyalistycznego, którą zasugestyonował masy głodne istotnej reformy społecznej.

Ten głód dotąd nie jest zaspokojony. Zadanie dotąd nie zostało rozwiązane. Do ostatniej chwili przed wojną rozwój ekonomiczny odbywał swój potężny, nieubłagany pochód, rodził bogactwa, a jednocześnie rodził rosnące niezadowolenie, i niewolę, rosnące pretensyę i wymagania. Myśl ludzka i zabiegi działaczy społecznych i politycznych doprowadziły do najrozmaitszych środków przewycięzania trudności, do poprawienia losu mas, do łagodzenia antagonizmów ekonomicznych, przeobrażenia ustroju całych gałęzi pracy ekonomicznej drogą kooperacyi. Ale zadanie wciąż rosło, i stało się jasnem, że w istocie rzeczy sięga ono daleko poza samo zagadnienie organizacyi ekonomicznej. Naiwne próby utopistów organizowania kolonii komunistycznych, które

obejmowałyby całokształt życia ich członków — przy całej życiowej niepraktyczności trafnie ujmowały problemat, powstały z tej rozpaczliwej jednostronności ekonomicznej owych czasów.

Reforma społeczna była reakcją przeciwko egoizmowi ludzkiemu, była więc w pragnieniach i ideałach reformatorów równie reformą moralną, jak i ekonomiczną. Od chwili, kiedy przyrodzony bieg życia gospodarczego i rozwój myśli ludzkiej w tej dziedzinie prowadzić zaczął do koncepcji społeczeństwa, jako mechanicznego wyniku działań jednostek rozproszkowanych i kierowanych wyłącznie własnym interesem, od tej chwili w serecach ludzkich obudziła się reakcja i pożądanie innego świata, w którymby panował człowiek społeczny, — a nie egoista, w którym w życiu jednostek żyłaby zbiorowość, w którym ludzie kierowaliby się interesem publicznym a nie interesem prywatnym, — słowem świata, w którym dusza ludzka oddychałaby szerszem, mocniejszym powietrzem wyższego wymiaru życia, niż ta licha gra poziomych zabiegów gospodarczych.

Dawniejsze wieki żyły życiem zbiorowem, ale o niem nie filozofowały. Kiedy się pojawiła filozofia, rozbijająca społeczeństwo na proszek z jednostek złożony, natychmiast też pojawiła się reakcja, która jej przeciwstawiła pojęcie zbiorowości. I ten nimb, który otacza reformatorów społecznych, to nie co innego, jak odblask tego wyższego wymiaru życia ludzkiego, jakim jest życie zbiorowe.

Oni chcieli je stworzyć sztucznie i dlatego wysiłki ich chybiły. Ale to były wysiłki ku prawdziwej reformie społecznej. Coś z tego samego ducha musi natchnąć i przyszłych działaczy, jeśli mają tego dzieła dokonać. Niestety, z tego ducha był rzetelnie splukany główny prąd ruchu robotniczego w Europie aż do wybuchu wojny. Nawskroś przejęty ideał walki klasowej, nie znał innej solidarności, jak solidarność interesów, nie widział innego celu walki, jak wyższe zarobki i krótszy dzień roboczy, nie miał innego ideału jak międzynarodowa solidarność proletariatu. Przez ostatnie cztery lata rzeczywistość z nieubłaganą bezwzględnością rozbijała tę całą ideologię. I dziś już z niej prawie nie zostało. A co jeszcze przyniosą najbliższe lata, może najbliższe miesiące?

Ale kwestya społeczna pozostała. Po wojnie stanie przed nami w stokroć jaskrawszem świetle. Reforma Społeczna będzie jeszcze gorętszem pożądanym wielkich mas ludzkich — i tych jed-

nostek, które kochają przyszłość. Ale też ludzkość będzie bogatsza o kilka lat takich doświadczeń, które starczą za wieki. Zaiste po takich doświadczeniach — po zawarciu pokoju powszechnego, znajdziemy się jak w nowej epoce dziejów, a wszystkie te panujące dotąd prądy i teorye będą nam jak stare śmiecie.

III.

SOCYALIZM A NARODOWOŚĆ.

Socjalizm miał zawsze sporo kłopotu ze sprawą narodowości. Wszystkie jego przesłanki zasadnicze pchały go do negocjowania jej. Przedewszystkiem podstawa na jakiej oparł się socjalizm — to rozwój kapitalizmu. Kapitalizm zdradzał tendencję do kosmopolityzmu. Psychologiczne przesłanki czerpał z bezwzględnej przewagi interesów zarobkowych człowieka, w których rządzi zasada *ubi bene ibi patria*. Siłę swoją upatrywał we wzroście antagonizmu klasowego, który tylko krzyżować mogły względy solidarności narodowej. Jedyna solidarność, jaką uznawał — to solidarność klasowa, płynąca ze świadomości klasowych interesów. Przy rozwoju międzynarodowych stosunków gospodarczych, reforma socjalistyczna była nie do pomyślenia w jednym państwie, które wszak nie dałoby się od innych izolować. Stąd hasło międzynarodowej łączności proletaryatu. Wreszcie materyalizm dziejowy wszystkie państwa przedstawił jako organizacje rządów jednej klasy nad drugą i nie widział w nich organizacyi narodów.

A jednak socjalizm nie zawsze mógł otwarcie występować przeciwko dążeniom narodowym. Przedewszystkiem szeregowały się pod jego sztandarami żywioły radykalne, zdecydowane, z temperamentem do walki.

Wszystkie ruchy polityczne XIX wieku zawsze trafiały gdzieś jako na ożywcze źródło ich rozpędu na jakieś natchnienia narodowe. Socjalizm pozował przytem na ruch *wyzwolenia*, trafiając więc wśród żywiołów, wśród których operował, na reakcyę przeciwko uciskowi narodowemu, nie mógł nie występować jako obrońca uciskanych. Trzeba przyznać, że mu ta rola niekiedy mocno dokuczala.

Rozwścieczona tym nienaturalnym obowiązkiem „Gazeta Ro-

botnicza Saska“ wołała kiedyś: „doszło do tego, że propaganda narodowa tych polskich socjalistów zaczyna przeszkadzać niemieckim członkom partyi w ich agitacyi socjalistycznej! Czyż oni mają to znosić wewnątrz państwa niemieckiego dla międzynarodowej solidarności!“

Ale były jakieś głębokie przyczyny, które nie pozwoliły socjalizmowi stanąć na gruncie szczerzego kosmopolityzmu, zwalczającego otwarcie wszelkie objawy ruchu narodowego. Jedną z nich była niewątpliwie i ta, że w ruchu socjalistycznym zawsze wielką rolę odgrywali żydzi. A żydzi uważają się powszechnie za uciskaną narodowość. Było to jedyne hasło, pod którem mogli bronić swych praw w Rosyi przed forum wielkiego świata. Znadto byli zaangażowani w międzynarodowej masoneryi, by mogli podejmować tę obronę w imię praw wyznaniowych. Hasło obrony uciskanych narodowości było dla nich dogodniejsze. Ale też ich pojęcie narodowości wycisnęło znamienne piętno na całym stosunku socjalizmu do sprawy narodowościowej.

Między ruchem socjalistycznym a dążeniami narodowemi istnieje zasadnicza sprzeczność. Ale, ponieważ praktyczne względy i wymagania życia kazały niekiedy socjalistom bronić narodowości, przeto musiały ich umysły przystosować się do tej potrzeby specjalną teorią.

Istota tej teorii jest prosta. Polega ona na tendencji ograniczenia pojęcia narodowości do możliwie najmniejszego zakresu indywidualnych potrzeb kulturalnych ludzi. Pojęcie narodowości jest oczywiście bardzo trudne do rozumowego ujęcia, i pozwala ono na wiele dowolności i spekulacji w tłumaczeniu. Można je ograniczać i ucinać i twierdzić, że nie przestało być sobą. Bo taka jest właściwość pojęć o rzeczach organicznych, że można je ciąć na kawałki i ostatecznie każdemu kawałkowi przypisać zasadnicze cechy pierwotnej całości. Człowiekowi też można uciąć ręce, nogi, uszy, zrobić dziurę w brzuchu, pomieszać umysł i wreszcie spytać: czyż to nie jest człowiek?

Na zjeździe socjalistycznym w Genewie postanowiono uroczyste oświadczyć całemu światu: „że nie powinno być innych naturalnych przegród między narodowościami, jak *język*, żadnego innego wyodrębnienia narodowego, prócz tego, które powstaje z utworów literatury powszechnej, żadnych innych celów narodowych prócz szczęścia całej ludzkości“.

Socjalizm w narodowości upatruje formę kultury. Jeden z pisarzy socjalistycznych zrobił zestawienie wszystkich gałęzi kultury, wymienił tam język, technikę, działalność ekonomiczną, urządzenia społeczne, prawodawstwo, politykę, naukę, filozofię, religię, sztukę, moralność, pedagogię, wreszcie „życie historyczne“. I chcąc dojść do pojęcia narodowości wykreśla to, co według recept socjalistycznych do narodu należeć nie powinno tylko do ludzkości. — Przedewszystkiem socjaliści starają się zawsze udowodnić, że wszystko co ma związek z organizacją państwową jest obce narodowości i nie powinno być przedmiotem dążeń narodowych. Dowodzą, że dla narodowości niema rzeczy bardziej obojętnej i zbytecznej, jak terytoryum. „Naród nie nie zyskuje na panowaniu nad terytoryum“, mówi Springer. Panowanie nad terytoryum, według niego jest funkcją państwa. Naród wogóle nie powinien panować. Naród jest związkiem jednostek. Springer stara się znaleźć rozwiązanie sprawy narodowościowej w Austrii i kategorycznie twierdzi np., że naród przecież siły zbrojnej mógłby potrzebować tylko, gdyby mu odmawiano zaspokojenia jego funkcji kulturalnych. „Ale no to wystarczy „brachium saeculare“! — Socyjaliści specjalnie chętnie kwestyonują jakiebądź prawa narodu do prawodawstwa. „W Austrii — cieszy się Springer, — *tymczasem* chęć odjęcia tej dziedziny od państwa nie wchodzi w zakres dążeń narodowościowych“. Dziedzina prawa i organizacyi ekonomicznej według socjalistów niema nic wspólnego z narodowością dlatego, że nie może w tych dziedzinach decydować nic innego, jak celowość i wartość, jaką dane urządzenia mają dla życia jednostek. „Żadne powoływanie się na geniusz narodowy nie może usprawiedliwić istnienia urządzeń krępujących dla wolności i powodzenia jednostek“. Ale któż oceni celowość i pożytek urządzeń, i kto ma prawo narzucić te, które uważa za lepsze?

Wogóle socjalistyczna koncepcya narodowości polega na tem, że uważa ją za osobistą właściwość jednostek, i to właściwość wchodzącą w zakres tylko wyższych potrzeb. Opiera się ta koncepcyi na znanej teoryi „nadbudowy“ Marxa. Społeczeństwo jest budową gospodarczą. W niej rządzą *konieczności*, prawa ekonomiczne i przymus państwowy. Cała kultura ludzka wchodzi w zakres „nadbudowy“ — tam jest kraj wolności. „Kraj wolności — mówią socjaliści — to kraj narodowości“. Dopiero po zaspokojeniu potrzeb materyalnych, mówi socjalizm, ludzie mogą oddawać

się wyższym rozkoszom, — i w tej dziedzinie, w dziedzinie wytwornego zbytku — mieści się według nich narodowość. Dążenia narodowe — powiadają, podtrzymuje — i przoduje w nich — inteligencya — nie lud.

Słowem, że socjaliści chcieliby poprzeć uciskane narodowości, z warunkiem by nie miały pretensyi do terytoryum, do twórczości prawodawczej, do posiadania siły zbrojnej. Całą absurdalność tej koncepcyi łatwo zbić jednym pytaniem: co to jest Twoja ojczyzna? Twój naród, czy Twoje państwo? Genialnych obrońców narodowości Austrii, którzy radziby najmniejszy kaprys w dziedzinie językowej zaspokoić wielojęzyczniemi szyldami i napisami na stacyach i wagonach kolejowych należy zapytać, jakie znajdą lekarstwo na rozterki Serbo-Chorwata z Bośni czy Hercegowiny, gdy przychodzi chwila, że musi oddać życie „za ojczyznę“ i z jednej strony z tem żądaniem do jego serca woła *naród* serbski, a z przymusem zwraca się *cesarz austriacki*. Gdzież jest jego ojczyzna, za którą ma krew lać? I panowie socjaliści bez wahanja przyznają, że to jest *prawo* cesarza austriackiego! Point de rêveries! — mówią: gotowiliśmy obwiesić całe Twoje otoczenie plakatami w języku serbskim, ale dla takiej bagatelki, jak oddanie życia za ojczyznę nie można zmieniać zasad ustroju państwowego Austrii przyznanego przez socyalistów. W sprawach *języka* i wyższych rozkoszy ojczyzną Twoją może być Serbja, — ale w sprawach oddania życia ojczyzną Twoją może być tylko Austriya. Bo siła zbrojna to sprawa państwa a nie narodu.

„Na posiadaniu terytoryum naród nic nie zyskuje“. „Naród jest związkiem jednostek — a nie organem panowania“. A niechże ci panowie odpowiedzą na pytanie czy Kraków stoi na ziemi polskiej czy na ziemi austriackiej? Nie znają oni tęsknoty do swojej ziemi, — nie wiedzą co znaczy wołanie „ziemio moja!“ Niech zejść z piedestału swoich koncepcyi do prostego ludu polskiego, niech wejdą w serca tych polaków wygnanych do Rosyi, niech spojrzą na nich w chwili, gdy wejdą na swoją ziemię. Będą tam tacy, co się krzyżem położą na zagonie i będą plakali rzewnymi łzami i całowali tę swoją *polską ziemię*. Dla panów socyalistów to są *wyższe rozkosze*, dostępne dopiero po zadowoleniu potrzeb materyalnych. Dla polskiego chłopca to z duszy wydarta żądza mocniejsza od potrzeb materyalnych. On odda ostatni grosz, odda bogaty zarobek za zagon polskiej ziemi. A jakże polak może mieć kawał pol-

skiej ziemi bez tego, żeby naród polski miał terytoryum? To są proste prawdy, nad którymi nie trzeba długo spekulować, tylko trzeba je bezstronnie stwierdzić zamiast im głośno zaprzeczać.

Sosyaliści rozumieją, że gdyby narody nie miały terytoryów, to zniknęłyby spory o terytorya z ludnością mieszaną, na których zawsze ktoś nad kimś musi panować. Jeden z nich dowodził, że dla Polaków kresowych byłoby tylko gorzej, gdyby Polska była niepodległa, bo ubyłoby im towarzyszy do walki o swe prawa w Rosyi. Naturalnie jest to bezprzedmiotowa spekulacya. Oczywiście, że stanowisko każdej mniejszości narodowej w obcym państwie jest tylko mocniejsze przez to, że ich naród ma samodzielne państwo, które może bronić jego praw na drodze międzynarodowych stosunków, i które stanowi odżywcze źródło zasilające jego własną kulturę i samowiedzę.

Wszystkie te absurdayalne koncepcye o narodowości opierają się na jeszcze bardziej absurdayalnych i samowolnie wytworzonych przesłankach. Znalazłem w literaturze socyalistycznej twierdzenie, że odrębność narodowa objawia się przedewszystkiem w dziedzinach, dających pole do twórczości indywidualnej. Przecież odrębność narodowa wiele wcześniej objawiała się właśnie w dziedzinie twórczości społecznej: w różnych urządzeniach społecznych, w różnych zasadach organizacyi państwowej. Rosya niezem może się tak nie różni od innych narodów, jak formą organizacyi swojej wsi, w czem nie ma żadnego pola do twórczości indywidualnej. Cytowany wyżej Springer idzie dalej — twierdzi on wogóle, że przekształcanie woli jednostkowej w wolę kolektywną nie odbywa się mechanicznie jakby żywiołową siłą natury, tylko drogą słownego porozumienia, zatem przez ludzką siłę poznania. Podobnież inny socyališta Żyłtowski twierdzi, że wogóle celów działania ludzkiego nie dyktuje charakter, tylko „położenie rzeczy“, potrzeby i intelekt. W tem twierdzeniu tkwi zasadniczy, głęboki błąd całego socyalistycznego myślenia. Głęboki myśliciel angielski Beniamin Kidd w doskonałej książce „Social Evolution“ dał niezmiernie trafne określenie istoty socyalizmu współczesnego. Jest to najwyższy wykwit racjonalizmu, który szuka określenia celów życia w tych właściwościach ludzkiej natury, które są stworzone dla znajdowania *środków* a nie dyktowania celów. Rozum zwrócony na poszukiwania celów życia jednostki — nie może znaleźć innego wyjścia, jak — w egoizmie. Bo rozum sam przez się z konieczności kieruje czło-

wieka do zachowania i pielęgnowania swego życia, a poświęcanie życia dla celów wyższych jest rzeczą z gruntu nierozumną. A jednak pozostanie ono zawsze objawem najwyższej szlachetności i wartości człowieka.

W istocie, w powszechnem pojęciu religia, moralność, sztuka, patriotyzm obraca się w dziedzinie celów życia, rzeczy zasadniczych najważniejszych, tych, które stanowią istotne konieczności wewnętrzne, a praca ekonomiczna, chleb — wszak jest środkiem. Trzeba było genialności Marxa, żeby odwrócić porządek rzeczy i twierdzić, że cele życia i konieczności życia mieszczą się tylko w ekonomicie, w chlebie powszednim, — a tamto wszystko — sztuka, religia, patriotyzm — to drugorzędna nadbudowa, która może być albo nie być. Literatura — to rozkosz, przeznaczona do używania po zaspokojeniu potrzeb materyalnych, religia — to z tej samej dziedziny prywatna przyjemność; patriotyzm — to wytworne uczucie dla inteligencji: wszystko to — w dziedzinie ideału — poza życiem. Czy nie czujecie próchna tej ideologii?

Jest to ideologia z góry powzięta, nietylko nieoparta na faktach, ale stojąca z niemi w radykalnej sprzeczności. Nikt tak też nie naciąga faktów i nie rzuca dowolnych twierdzeń w sprawach dotyczących narodowości, jak socjaliści. Twierdzą np. że Rzymskie Państwo tem się różni od współczesnych, że tam grupą panującą był naród, a we współczesnem państwie — jest nią klasa. Dlaczego np. we Francyi, mającej powszechne prawo wyborcze i ustrój parlamentarny, grupą rządzącą nie ma być naród tylko klasa, to pojmie tylko ten, kto chce, żeby tak było dla udowodnienia, że narodom wara od państwa. A oto Springer twierdzi kategorycznie, że wspólność narodowa polega głównie nie na woli, lecz na myśli i uczuciu.

Niech ludzie, którzy te teorye biorą na seryo, spojrzą na odezwę legionistów uwięzionych w Huszt, w której błagają polityków, by nie kierowali się względami na ich warunki istnienia, bo oni świadomie poszli za głosem narodowego sumienia i przygotowani są na prześladowania i śmierć; niechże wględy na ich los nie wpłyną na zmianę opozycyjnego kursu polityki polskiej, bo to tylko dałoby im smutną świadomość daremności ich kroku. Cóż — czy ta bohaterska odezwa nie jest wykwitem głębokiej świadomości narodowej, czy też nie jest aktem żelaznej *woli*? A cała akcyja Piłsudskiego, a tworzenie wojsk czeskich przez jeńców — czyż to

wszystko nie było jaskrawym dowodem, że wspólność i świadomość narodowa polega przede wszystkim właśnie na zbiorowej woli? I cóż byłaby warta literatura narodu, któryby nie wykazał właśnie zbiorowej *woli*?

Podobnie dowolne twierdzenia puszcza się, by dowieść tego, co stoi właśnie w jaskrawej sprzeczności z oczywistą prawdą, że narodowość nie ma nic wspólnego z państwowością. Robi się karkołomne skoki umysłowe, by znaleźć określenie narodowości, wynajduje się trudności tylko po to, by nie dać jedyne określenia, które odpowiada rzeczywistości; mianowicie: narodowość jest to ugrupowanie ludzi, którzy mają zbiorową wolę tworzenia własnego i niezależnego państwa.

Tem właśnie narody różnią się od plemion, które tej zbiorowej woli nie mają, albo sobie jej jeszcze nie uświadomiły, albo nie ma jej w samej istocie ich zbiorowej samowiedzy. Walijszczyki np. wysoko cenią swój język; używają go w domu, w szkole i w kościele, kochają nawet swoją ziemię, swoje terytorium, ale faktycznie nie mają tendencji do tworzenia swej walijskiej państwowości, przeciwnie dostarczają najdzielniejszych mężów stanu państwowości angielskiej (jak np. Lloyd George). A Irlandczycy, których język prawie uległ zagładzie, główny wyraz dla swej samowiedzy zbiorowej znajdują w dążeniach państwowotwórczych. W powyższym określeniu narodowości mieszczą się z łatwością wszystkie te zjawiska, które tak utrudniają socyalistom ich poszukiwania za określeniem, któreby właśnie to jedyne prawdziwe ominęło — mianowicie i różnojęzyczna Szwajcarya i różne państwa o jednym języku — jak Anglia i Ameryka. Te przykłady dowodzą właśnie, że *istota* narodowości nie polega na języku, chociaż naturalnie pełny rozkwit narodowość wykazuje wtedy, gdy ta sama zbiorowość, która tworzy język, kulturę, obyczaje i instynkty odrębne, tworzy i organizację państwową.

Próżno spekulować, czy narodowość dotyczy uczucia, myśli czy woli. Narodowość jest przede wszystkim skarbnicą i nieschnącym źródłem natchnień i twórczości. A twórczość jest początkiem i końcem wartości ludzkiego dzieła. Czy to będzie sztuka, czy to będzie nauka, czy organizacja społeczna, państwowa, czy nawet ekonomiczna, — wtedy będzie dobra, jeśli jaśnieć w niej będzie, jak źródło światła — twórcza myśl. Jeśli nie we wszystkich dziedzinach, to w znacznej ich większości twórcza myśl w człowieku ro-

dzi się z jego narodowości. Nawet w nauce tak często bywa. Teorya Darwina jest dorobkiem ogólnoludzkim, ale czyż nie jest to teorya wprost jakby wysnuta z charakteru narodowego Anglika? Czy możliwa byłaby ta genialnie twórcza myśl w człowieku mniej wiernym swemu narodowemu charakterowi, niż Darwin? Dość spojrzeć jak Niemcy całą teoryę Darwina zwulgaryzowali i zepsuli swoim duchem, by pojąć, że tak jest. W filozofii ta prawda chyba nikomu nie nasunie wątpliwości, nie mówiąc o sztuce i literaturze pięknej.

Jeśli tak jest nawet w dziedzinie twórczości naukowej, to stokrotnie więcej w dziedzinie twórczości społecznej. Tu można powiedzieć, że naród, który sam swoich form bytu społecznego — więc organizacyi państwowej, prawodawstwa, urządzeń społecznych — nie wysnuje z własnej twórczości, i skazany jest na czerpanie ich z zewnątrz, taki naród zawsze będzie się czuł nieszczęśliwym. Tu związane i splątane są ze sobą wszystkie niei życia. Organizacya społeczno-państwowa jest dla człowieka budową jego gmachu wolności. A niczem tak narody się od siebie nie różnią, jak pojęciem i poczuciem wolności. Angielski pisarz Ashley, pisząc ze szczerem uwielbieniem o pruskiej organizacyi samorządu, dodaje w końcu: naturalnie jest to organizacya dobra dla Niemców. Żaden Anglik by w niej nie wytrzymał. Naturalnie. Niemiec ma inne pojęcie wolności. Dla niego atmosfera mechanicznej organizacyi i mechanicznej dyscypliny jest atmosferą jego ducha. Anglik widziałby w niej niemożliwe do zniesienia skrepowanie wolności.

A wolność — i tylko wolność jest przybytkiem twórczości. Człowiek, by tworzyć musi czuć się wolnym. Dlatego wiele twórcy naszej poezyi uciekali z kraju, gdzie niewola zabiłaby ich twórczość. Słusznie uważali dla siebie za niedopuszczalne pozostać w kraju niewolnym. Cały okres po upadku Polski był okresem wyzwania się z niewoli wielkich twórców, którzy we wszystkich dziedzinach chcieli budować gmach wolności. Mickiewicz, Cieszkowski, Staszic, Kołłątaj, Kościuszko, Lubecki — te imiona są jakby drokowskazami na drodze do tej budowy. Bo niełatwa to rzecz ten gmach zbudować. Trzeba by był mocny, a jednak by nie przesiał być gmachem wolności. Bo nie tak nie zabija twórczości, jak przystosowanie narodu do warunków życia, które dla istoty jego samowiedzy są warunkami niewoli. Poczucia wolności nie można ludziom podyktować. „Dość wam języka i literatury“ — mówią

socjaliści — „i bez własnego państwa jesteście wolni“. Cóż, kiedy z prawami języka i literatury, Polacy nie przestaną *czuć się w niewoli*. A wolność jest nie tylko ich *prawem*, wolność ich, jak wolność każdego narodu, jest potrzebą ludzkości, bo wolność jest przybytkiem twórczości, a twórczość każdego narodu jest dorobkiem człowieczeństwa.

Socjaliści dowodzą, że organizacja państwowa i ekonomiczna jest wytworem czystego abstrakcyjnego rozumu. A jabym się ośmielił twierdzić, że wszystkie organizacje państwowe społeczne i ekonomiczne są wyrazem dążenia czyjś do organizacji wolności. A ponieważ pojęcie wolności jest swoiste i odrębne u różnych narodów, ponieważ stanowi najgłębszy i naistotniejszy wytwór *narodowości*, przeto każda organizacja państwowa i ekonomiczna jest w ostateczności organizacją wolności jakiegoś narodu. Sombart napisał wielkie dzieło, w którym dowodził, że wszystkie najcharakterystyczniejsze formy organizacji kapitalistycznej są pochodzenia żydowskiego. I czasem czuje się potrzebę zapytania nieprzepartą, czy naprawdę te potworne tendencje współczesnego ustroju ekonomicznego, które wszystkie społeczeństwa prowadzą do chronicznej choroby społecznej, nie pochodzą stąd, że jest to ustrój korzystny tylko dla jednego narodu — wybranego narodu żydowskiego? I dlatego wydaje się, że reforma społeczna, która ma być lekarstwem na te choroby, nie powstanie z jakiejś ogólnoludzkiej abstrakcyjnej doktryny; że każdy naród powinien po nią sięgnąć do głębi swych swoistych, jemu właściwych instynktów społecznych, tkwiących przedewszystkiem w jego surowszych warstwach.

Zanim przejdę do tego przedmiotu muszę tu zrobić wyznanie: w myśl tej zasadniczej hipotezy, że źródłem każdego twórczego dążenia do organizacji społecznej jest zawsze narodowość, zadawałem sobie nieraz pytanie skąd pochodzi i dokąd właściwie dąży współczesny socjalizm? — t. j. ten socjalizm, który jest faktem, działaniem i *tworzy* teorie, a nie te lub inne szkoły czy odcienie socjalizmu. Z jakiegoż narodu on powstał, i czyją *wolność* on organizuje? I nie mogę się oprzeć przekonaniu, że socjalizm społeczny, ten socjalizm, który powstał od Marxa, i jemu pozostał wierny, jest w istocie niezem innym, jak funkcją ekspansyi narodu niemieckiego.

Daleki jestem od twierdzenia, że socjaliści świadomie temu celowi służyli. Ale pomysłami społecznych działaczy nie zawsze

kieruje świadoma myśl. Właśnie najbardziej twórcze są dziełem jakiegoś głębokiego instynktu, w którym poczucie trafności silnie góruje nad świadomością celu. Rozum wskazuje jeden cel a instynkt prowadzi do innego. I ta sama czynność dla rozumu tłumaczy się w pewien sposób, a fakty pokazują jej zgoła odmienne znaczenie, nieraz zagadkowo trafnie przeczute żywotnym instynktem.

Liebknecht kiedyś pisał: „Niemiec zawsze był kosmopolitą, i wulgarna idea chińskiej izolacji swej narodowości mogła pozostać tylko w słowiańsko-kozackich czaszkach junkrów. I, w istocie, naród niemiecki może się szczycić swoją polityką emigracyjną i kolonialną... Jedna Austria, zawojowana od słowiańskich i niesłowiańskich barbarzyńców i przyłączona do kultury niemieckiej — warta jest cesarstwa Indyjskiego. Raczej — warta była by, gdyby lud niemiecki nie stracił panowania we własnym kraju i dzięki szeregowi nieszczęśliwych warunków, nie był popadł w niewolę książąt, którzy zwracali uwagę tylko na interesy własnych korzyści i ciasne interesy dynastji; żaden z tych książąt nie był w stanie pojąć tego narodowego a jednocześnie międzynarodowego pędu narodu niemieckiego. Swoją narodową polityką kolonialną, naród niemiecki stworzył w Austrii siłę, która przy należytem poparciu ze strony metropolii, teraz już władałaby całym półwyspem bałkańskim i Konstantynopolem, tym kluczem panowania światowego. Ale nikt z niemieckich panujących, ani t. zw. mężów stanu nie miał pojęcia o takiej narodowo-międzynarodowej polityce kolonialnej“.

Oto, gdzie należy szukać mistrzów dzisiejszej polityki niemieckiej! Czyż nie jest to wybuch instynktu znamiennejszy i mocniejszy od wszystkich teorii kosmopolitycznych? Rozum mówi nawet w tem charakterystycznym zdaniu „Kosmopolityzm“, a instynkt podsuwa: „panowanie światowe“. Czyż widząc taki czystej krwi pangermanizm u jednego z proroków socjalizmu, nie chce się czasem z pewnem ostrożnem powątpiewaniem poanalizować co robią „wierni“ w innych krajach, czy aby pozostają przy czystych wskazaniach rozumu socjalistycznego, czy czasem ten szatański instynkt władania światem i w innych objawach ruchu socjalistycznego się nie kryje?

Czy nie jest naprzykład zastanawiające, że socjaliści mieli zawsze niezwykle sympatyje do nacyonalizmów mało narodowo uświadomionych plemion, mających stosunkowo słabe zadatki państwowo-twórcze, jak ruch ukraiński, ruch litewski, ruch flamandzki,

który już w roku 1869 rozrzewniał kongres międzynarodowy, — podczas gdy polskie ruchy narodowe nietylko mało budziły sympaty wśród socyalistów, ale nieraz wywoływały ist ostre potępienie; również o ile mi wiadomo Serbowie nie mieli szczęścia do sympaty socyalistycznych. Na antagonizm czesko-niemiecki austriacki socyalista Springer patrzył, jako na drobny konflikt, który powinien być załagodzony kompromisem, a nie przyznaniem przyrodzonych praw Czechom na ich własnej ziemi. Dla rozumu zaiste taka jednostronność sympaty jest niewytłomaczona. Ale za to wojna obecna wykazała, jak głęboko uzasadnione były te sympaty ze stanowiska owego szatańskiego instynktu, który Liebknecht tak gorąco chciał wszczepić niemieckim panującym i mężom stanu. W sprawie sympaty dla ruchu Ukraińskiego socjaliści instynkt ten dzielili najzupełniej z najzagorzalszymi hakatystami, których potajemne konszachty z Ukraińcami przeciw Polakom w swoim czasie zdemaskował „Dziennik Berliński“.

Jakimże trafnym instynktem kierowani wytwarzali socjaliści Marksowscy we wszystkich krajach najskrajniejszych pacyfistów, tylko w Niemczech zachowując pod pięknem brzmieniem słowa „Kosmopolityzm“ treść „panowanie światowe“.

A już prawdziwem dziełem szatana jest rola, jaką socyalizm Marksowski odegrał w Rosyi. W kraju prawie pozbawionym przemysłu, w kraju mającym warunki bytu odmienne od całej Europy, wszyscy ludzie myślący, cała inteligencya nietylko nie znajduje w sobie, w swoim własnym charakterze narodowym, żadnych wskazówek, żadnych pomysłów reformy społecznej, ale z całego świata nauki, który przecie jest wielki i rozmaity, wybiera sobie za bóstwo jednego Karola Marxa, i służy mu z taką wiernością, z taką jednostronnością, jakiej nigdzie na całym świecie ten myśliciel się nie doczekał—nawet we własnej ojczyźnie. I trzeba nieszczęścia, że właśnie każdy naród byłby strawił Karola Marxa, i byłby może od tego nie zachorował; ale Rosya nie mogła nie zginąć od Marxa, bo warunki jej życia rolnego naprowadziły jej inteligencyę na zgubną omyłkę zastosowania jego koncepcyi w rolnictwie; a te warunki—mianowicie wspólnota własności i przepaść dzieląca chłopca od obywatela, stanowiły wprost gotową pożywkę, jak dla najgorszej epidemii, dla tych potwornych koncepcyi usprawiedliwiających zawiść i niszczących własność.

Dlaczegoż ta cała inteligencya rosyjska, która wszak do Nie-

miec jeździła po rozum, nie wyprowadziła ze swego głębokiego wykształcenia tego prostego wniosku, że Marx może być dobry dla krajów uprzemysłowionych i silnych, ale musi być zgubny dla Rosyi; dla czego przeciwnie, cała inteligencya rosyjska — prawie bez wyjątku, wywiozła z Niemiec przekonanie, że trzeba w Rosyi szerzyć Marxa — i *nie tylko Marxa?*

I przyszła wojna. Przyszła rewolucya, która postawiła jejdyny podobno w Europie pomnik Marxowi, i Rosya znalazła się u nóg Niemiec.

Określonych zamiarów w tem upatrywać niepodobna. Ale dziwnie trafny bywa instynkt, gdy czerpie swe źródło w świadomości celów swego narodu. Zaiste — ten socjalizm przydał się Niemcom. Przez nich i widocznie dla nich był stworzony. Ale inne narody powinny się głęboko po doświadczeniach tej wojny zastanowić, czy nie należy im szukać inych dróg do reformy społecznej.

IV.

SOCYALIZM I WOJNA.

Wypadki tej miary, co obecna wojna przerastają o wiele pojemność ludzkiej myśli i doświadczenia. Chociaż zagłębianie się w te wielkie zdarzenia rodzi masę uwag i nieskończonych wniosków, — bo jest to przebogaty materiał dla umysłu, — to jednak robienie jakichbądź przewidywań i chęć jasnego zrozumienia biegu wypadków napotyka nieprzewyciężone przeszkody. A jednak jest to głęboką potrzebą. Każdy rozumie, że zbliża się do kresu tej wojny, a temsamem do chwili, kiedy skoncentrowana w jednym kierunku energia ludzka, raptownie będzie musiała przerwać ten wysilek, który przez te 4 lata wszedł w drugą naturę ludzi. I staną przed ludźmi pytania: co dalej? gdzie się znajdują i jakie będą te koryta, któremi energia ludzka popłynie po wojnie? Czyż będzie to nawiązanie poprostu poprzedniej nici życia przerwanej przez wojnę? Czy też odrazu znajdą się w życiu narodów nowe pierwiastki, nowe źródła, — może dawniej wyschnięte, a przez wojnę ożywione, które stworzą nowe aspiracye, nowe dążenia, nowe ideały, i dadzą krajobrazowi życia i kultury postać nową.

Dużo światła na kwestyę tę rzuca stan Rosyi. Rosya już skończyła wojnę. I oto odrazu weszły w życie skutki tej wojny. Na

pozór zdawałoby się, że tu wojna doszczętnie zakończyła stary okres dziejów, i z jej przerwaniem zaczął się okres nowy. Ale w rzeczywistości pod względem ideałów i dążeń Rosya tylko nawiązała nic nowego życia do tego ostatniego końca, który pozostał przed wojną i przez nią został urwany.

Rosyjska rewolucya nie wyrosła z wojny, ona wyrosła z tej negacyi wojny, jaką w głębi swej psychologicznej rzeczywistości była cała ideologja socjalizmu. Socjalizm był najwyższym wykwitem *postępu* ostatnich 150 lat. Organicznie wyrósł z okresu rewolucyi przemysłowej, z ideologii liberalnej Ekonomii, z rozwoju industrializmu i kapitalizmu, był jego logiczną konsekwencyą. Socjalizm chciał się zawsze łączyć ze wszystkim, co było najnowszego w nauce i w sztuce, chciał zawsze być na przedzie i uważał się nie bez niejakiej słuszności za kwiat postępowej kultury.

I oto ten kwiat, który do wojny był obiecującym pączkiem, ledwo się wojna skończyła w jednym państwie, odrazu w tem państwie rozkwitł ogromnem bujnem kwieciami, i... również odrazu zwiędł. Jeszcze się trochę trzyma łodygi, jeszcze świeci jaskrawą barwą, ale niedaleki koniec zapowiada zaczynająca się szerzyć pluga wa woń gnicia.

Ten jeden rezultat wojny w dziedzinie rozwoju kultury wydaje mi się niemal pewnym, to bankructwo socjalizmu. Nietylko rewolucya rosyjska wykazała jego bezsilność, a nawet zbrodnię, ale wojna zniszczyła wszystkie jego przesłanki.

Przedewszystkiem upadła podstawa na jakiej budował — koncepcya o międzynarodowym i bezosobowym charakterze towaru, kapitału i życia ekonomicznego wogóle. Chociaż jeszcze dziś wódz rosyjskiego socjalizmu, Lenin, nie przestaje kategorycznie i z naciskiem powtarzać, że kapitał jest międzynarodowy, rola jaką odegrał kapitał niemiecki w tej wojnie wykazała jego ściśle narodowy, szowinistyczny, zaboreczy charakter. Ta maniakalna spekulacya nad pojęciami ekonomicznymi, która z kapitału chce zrobić jakąś abstrakcyę, nie przeszkodzi ludziom o zdrowym sensie spostrzedz, że ten „międzynarodowy“ kapitał, kiedy się znalazł w rękę Niemców, korzystał ze swego „międzynarodowego“ charakteru i praw po to, by w obcych państwach zdobywać obszary przeznaczone do korzystnego manewrowania niemieckich wojsk, tworzyć dokoła wielkich przedsięwzięciw ośrodki politycznych wpływów, gromadzić pośród jego najemników całe bandy niemieckich szpiegów,

wreszcie budować mury i fundamenty dla niemieckich armat. Kapitał jest taki sam międzynarodowy, jak armata, która może być przedmiotem międzynarodowego handlu a służy do walki między narodami, i jest nim o tyle, o ile za taki uważa go ten, kto nim włada, jak każde narzędzie działania i wpływu ludzkiego. I negocjowanie narodowego charakteru kapitału tylko prowadzi do pognebiania wyznawców tej zasady — przez te narody, które jego narodowy charakter uznają. To też Niemcy najwięcej wysiłków myśli użyli, by dowieść międzynarodowego charakteru kapitału i tem usypiali czujność sąsiadów na niepokohamowany rozrost narodowego charakteru kapitału u siebie.

Cała koncepcya międzynarodowego charakteru nowoczesnego życia ekonomicznego opiera się na tem wyobrażeniu, że życie ekonomiczne społeczeństwa stanowi osnowę całej budowy społecznej. Nauka ekonomiczna wytworzyła pojęcie mechanicznej konstrukcyi społeczeństwa, tworzącej się z samorzutnego układu indywidualnych dążeń i interesów. To pojęcie w całej pełni przejął socyalizm, uważając za jedyny trwały spójnik społeczny — *solidarność interesów*. Przytem człowiek zarówno w pojęciu nauki ekonomicznej, jak socyalizm — to maszyna zarobkowa, w której dążenie do zdobywania materialnego dobrobytu stanowi jedyną istotną siłę popychającą. Sosyalizm nie widział, żeby człowiek naprawdę na seryo brał cokolwiek innego, jak chleb.

Wojskowość szczerzy socjaliści traktowali wyłącznie jako bezmyślny przymus, wynikający z rządów burżuazyi. Ich pacyfizm u źródła swego miał zawsze głęboką pogardę dla wszystkich pobudek obcych prostemu pojmowaniu materialnych interesów.

Cała ta teoria doznała głębokiego wstrząśnienia przez wybuch wojny. Pokazała ona przedewszystkiem, że walka ekonomiczna między narodami miała pobudki dużo silniejsze, niż niwelujący wpływ nowożytnego rozwoju kapitalizmu. Walka ta odbywała się zawsze. I nie była ona kaprysem rządów. Dowodziła, że bogacącemu się człowiekowi jednak nie jest wszystko jedno, czy swem bogaceniem się przynosi korzyść poza sobą — całemu człowieczeństwu, czy swemu narodowi. Ale ileż ludzi tej walki nie chciało widzieć, nie chciało uznawać. Pisarze angielscy, którzy ostrzegali przed ekspansyą ekonomiczną niemiecką i doradzali organizacyę obronną Imperyum Brytańskiego, nigdy nie zdobyli popularności w swoim narodzie, a organizacye robotnicze, których przy-

szłość wszak była silnie zaangażowana w tej walce, nie dawały im żadnego posłuchu. Bo ideologia robotnicza była głęboko przesiąknięta internacjonalizmem, którego korzenie tkwiły w starych teoriach ekonomicznych. Wojna jednym zamachem strąciła cały ten gmach.

Wykazała ona przedewszystkiem, że po za chlebem jest jeszcze inna sprawa, którą zwykły człowiek bierze przynajmniej równie, a może jeszcze bardziej na seryo, a nią jest obrona ojczyzny. Jeśli można się powoływać na przymus państwowy w krajach mających przymusową służbę wojskową, jako na źródło i przyczynę tej powagi, jaką posiada służba wojskowa dla obywatela, to nie można tego powiedzieć o Anglii, gdzie przymusowej służby nie było, gdzie ją wprowadzono prawie bez opozycji, w każdym razie bez szemrania ze strony szerokich mas robotniczych. Koncepcya „ekonomicznego człowieka“ runęła tu jeśli nie na zawsze to na długo. Masy robotnicze same we własnych duszach poczuły pobudki nowe, inne od prostych materyalnych interesów, i tu już nie pomocą dowodzenia agitatorów, odwoływanie się do wulgarnych instynktów. Ludzie zrozumieli, że ekonomiczne interesy nie dadzą się zizolować od innych „interesów“, które nie tyle poddają się kalkulacyi i rozumowemu ujęciu, ile odczuwają się instynktem, całą istotą natury ludzkiej, i o wiele łatwiej.

To jedno doświadczenie musi okazać się niesłychanie płodne w zakresie pojęć o społeczeństwie. Na miejsce mechanicznych koncepcyi o organizaacyi ekonomicznej, jako osnowie budowy społecznej, wtłoczyło się w świadomość najszerszych warstw ludzkich pojęcie nowe, którego myśl publiczna nigdy tak jasno nie rozumiała, — pojęcie narodu. Trzeba przypomnieć sobie tę szarzyznę, jaka panowała w pojęciach o społeczeństwie, ten cynizm i materyalizm pozytywistyczny, by odczuć cały kontrast tego nagłego, jaskrawego zjawiska, z którem przez te 4 lata zdążyliśmy się już oswoić. Bez tego pojęcia żaden socyolog, już nie będzie mógł skonstruować obrazu społeczeństwa, bo zbyt jawnie odbiegać będzie od rzeczywistości.

Temsamem runęła koncepcya międzynarodowej solidarności proletaryatu. Proces upadku tej koncepcyi doskonale się uwidoczniła w chwili wybuchu i w pierwszym miesiącu trwania wojny w Anglii. Ruch robotniczy angielski był bardziej przejęty poczuciem międzynarodowej solidarności proletaryatu, niżby się mogło zdawać. W dodatku ruch ten rozwijający się w ramach dosyć

ciasnych uporczywej walki o lepsze warunki bytu, był bardzo odległy od jakichkolwiek ideałów politycznych lub narodowych. Tem jaskrawszy jest przełom wywołany przez wojnę.

Olbrzymie zebranie robotników ze wszystkich grup w dniu 2 sierpnia 1914 roku na skwerze Trafalgarskim w Londynie powzięło rezolucję, w której są takie słowa: „Z poważnem wzburzeniem widzimy zapowiedzi wojny, w którą mocarstwa Europy będą wciągnięte wskutek tajnych umów i porozumień, które nigdy nie były sankcyonowane przez narody, ani nawet nie były im zakomunikowane; nastajemy na to, by staraniami międzynarodowego ruchu robotniczego robotnicy wszystkich narodów połączyli swe wysiłki dla wywarcia nacisku na swe rządy i przeszkodzenia im wzięcia udziału w wojnie“.

Przyszły minister Henderson pisał w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku w imieniu zarządu partii robotniczej (jednoczącej wszystkie organizacje robotnicze): „Konflikt wynikł między narodami Europy wskutek tego, że ministrowie spraw zagranicznych prowadzili politykę dyplomatyczną z celem utrzymania równowagi potęg Europejskich... Ruch robotniczy stwierdza fakt, że sprzeciwia się polityce, która wywołała wojnę i że obowiązkiem jego jest teraz zdobyć pokój możliwie najprędzej na takich warunkach, które stworzą lepsze stosunki, najbardziej sprzyjające dla odnowienia uczuć przyjaznych między robotnikami Europy“.

Mac Donald w kilka dni po wybuchu wojny mówił: „My nie bijemy się o niepodległość Belgji; bijemy się, bo polityka ministerjum spraw zewnętrznych była przeciw-niemiecka... Bijemy się, bo mamy *uprzedzenia* do bardzo mocnego rywala na polu handlowem“.

I oto pierwszy miesiąc wojny już dokonał zasadniczego przewrotu w umysłach robotników i stosujących się do panującego w nich ducha przywódców.

Ten sam Mac Donald po miesiącu wojny pisał: „Zwycięstwo musi być nasze. Anglia nie odegrała jeszcze swej roli. Misja jej nie skończona... Historya w swoim czasie oceni zasługi i winy, ale młodzież nasza tymczasem musi zdecydować o zwycięstwie. Niech to uczyni w tym samym duchu bohaterstwa, które podniosło sławę naszej Ojczyzny w czasach minionych... Do poważnych działaczy robotniczych dość powiedzieć: Anglia was potrzebuje... i zbiorą się tłumnie na jej pomoc“.

Robotnicy wzięli żywy udział w rekrutacji i byli najgorętszymi zwolennikami przymusowej służby wojskowej.

Walka przemysłowa zesłała na dalszy plan. W dniu 24 sierpnia 1914 roku wszystkie organizacje robotnicze powzięły uchwałę jaknajszybszego przerwania wszelkich sporów między pracodawcami i robotnikami i trzymania się nadal polityki pojednawczej, by nie dopuścić do strajków i lokautów.

Ci sami robotnicy, którzy w dniu wybuchu wojny z entuzjazmem uchwalali pacyfistyczno-kosmopolityczne rezolucje, w ciągu tych 4 lat blisko jej trwania masami bez szemrania zasilali szeregi żołnierskie, i zamiast upominać się o interesy materialne swej klasy, szli na śmierć w walce o interesy narodu.

To też wojna do ideologii robotniczej na zachodzie już wprowadziła pojęcie narodowości. Oto zdanie, zaczerpnięte z autora, który stoi na ciasnym klasowym stanowisku interesów robotniczych: „organizacja robotnicza mogłaby zdecydować, że wojna rządów kapitalistycznych nie jest i nie może być jej sprawą, że zatem mogłaby się oświadczyć, że trzyma się od niej zdala... Lecz takie stanowisko rzeczywiście wymagałoby zaprzeczenia narodowości. Choćby logiczne, stanowi ono takie oczywiste pogwałcenie naturalnych instynktów, że nie może ostatecznie być utrzymane“ *).

To małe zdanie zawiera w sobie całą rewolucję myśli, jakiej w ideologii robotniczej dokonała wojna. Żelazna logika, raczej zmechanizowanie myśli, któremu tak łatwo ulegają działacze robotniczy, pod wpływem mechaniczności całego swego otoczenia i pracy fabrycznej, zostało nareszcie złamane na korzyść „naturalnych instynktów“.

Świadomość narodowa okazała się i w innych krajach młodsza od doktryny o międzynarodowej solidarności i stanęła na przeszkodzie do zwołania międzynarodowego kongresu robotniczego, do którego tak gorliwie nawoływali niepoprawni doktrynerzy, skrzętnie wyzyskiwani przez mistrzów niemieckich. Ogromna większość robotników Francji, Belgii, Anglii i Ameryki nie poczuwa się już do solidarności z robotnikami niemieckimi. Czy ta solidarność się odrodzi? Wątpliwe. Raczej zamrze, bo stanie się bezprzedmiotowa.

Wypadki ostatnich 4 lat dla każdego bezstronnie myślącego

*) Cole „Labour in war time“, Londyn, 1915, str. 18.

człowieka musiały podkopać albo zgoła zniszczyć wiarę w to, co stanowi istotną treść współczesnego socjalizmu — teorię walki klas. Bo trzeba sobie jasno zdać sprawę, że nazwa „socjal-demokracya“ źle reprezentuje istotę ruchu socjalistycznego — tego ruchu, który się objawia w myślach i czynach ludzi działających, a nie tylko w książkach myślicieli. *Socjalizm* — nasuwa pojęcie zrzeszenia, solidarności; *demokracya* — związana jest z pewnymi ideałami politycznymi zrodzonymi przez ustrój Anglii, Rewolucję Francuską i Purytanów — twórców Demokracji Amerykańskiej. Tymczasem w ruchu socjalistycznym idee solidarności i zrzeszenia — są różową mgłą, pozbawioną form konkretnych i nie znajdującą żadnej realizacyi ani nadziei realizacyi w konkretnych programach. Idee te są wprowadzane w czyn przez ruchy i żywioły właśnie niesocjalistyczne, przez ruch współdzielczy, przez organizacye chrześcijańsko-robotnicze, względem których socjaliści często wprost wrogie zajmują stanowisko. A demokracja dla socjalistów nie jest ideałem, tylko środkiem. Hasła demokratyczne mają im posłużyć do opanowania państwa. Ale np. w Rosyi, tym, co tego celu dopięli, myśl socjalistyczna odrazu podsunęła argumenty i zwroty pełne pogardy dla hasel demokracji. Boć ideałem demokracji jest zrównanie i zbratanie klas, a nie opanowanie jednej klasy przez drugą, choćby siłą liczby. Tem właśnie socjalizm różni się zasadniczo od innych ruchów społecznych, które są szczerze demokratyczne, że realny jego program nie sięga ideałów solidarności demokracji, a całkowicie jest pochłonięty wyobrażeniem o niespożytej sile twórczej instynktów klasowych i płynącej z nich walki.

Otóż wojna oddziałała na te instynkty dwojako. Przede wszystkim, wzmacniając świadomość solidarności narodowej, pokrzyżowała linie solidarności klasowej, i tem złagodziła antagonizmy klasowe skuteczniej, niżby to mogła była zrobić jaka bądź ideowa agitacya.

A po drugie — służba w wojsku tworzy tysiąc czynników niwelujących różnice klasowe i prowadzących do zbratania klas. Wspólna dola, wspólne niebezpieczeństwo, wspólne bohaterstwo, wspólne nieszczęście, wspólne radość zwycięstwa — wszystko to nawiązuje między ludźmi stosunki ściślejsze, gorętsze — i przez to może głębsze i trwalsze, niż osławiona wspólność interesów. A wojna grupuje ludzi nie według klas. Naturalnie w Niemczech, mających kastowe oficerstwo wpływ ten będzie dużo mniejszy. Ale

w krajach prawdziwego Zachodu, wojsko jest bardziej demokratyczną organizacją, niż wszystkie organizacje pokojowego życia. Bo moralna treść ideałów demokratycznych nie polega na wyróżnieniu wszystkich różnic między ludźmi, boć absurdem jest organizm bez organów, społeczność bez funkcji rozpoznawczych, kierowniczych i wykonawczych. Nie jest też treścią ideałów demokratycznych oduczanie człowieka od posłuszeństwa, podkopywanie autorytetu, niweczenie w duszy ludzkiej szacunku i czci. Ale treścią ideałów demokratycznych jest, by różnice między ludźmi, korzystającymi z publicznego wyróżnienia przez odznaki i odmienne formy stosunku, były różnicami funkcji, a nie pochodziły z niezaspokojonego przywileju. Wojna uczy cenić rzeczywiste zasługi i życiową wartość człowieka. Różnice między ludźmi w tej twardej praktyce życia wybijają się same, stają się zrozumiałe, są prędko uznane i ukazują całą lichotę i taniość tych wszystkich koncepcji, chcących zniwelować ludzi pod jeden strychulec klasowych interesów. Ale za to wspólność wielkich zadań uprzytamnia ludziom całą nikłość różnic klasowych i kastowych. Doprowadzona do maximum prostota życia żołnierskiego niszczy przegrody stanu społecznego i zamożności, stanowiące taką bogatą pożywkę dla kultywowania bakterii nienawiści i zawiści klasowej. Ludzie różnych klas zbliżyli się, poznali się, przekonali się, jak istotne wartości ludzkie, od waga, sumiennosc, obowiazkowość, uczciwość, a także i te cechy, które bywają uważane za właściwe „szlachetnym“ — jak delikatność, wrodzona grzeczność i t. p., rozsiane są między ludźmi bez uwzględnienia klasy społecznej; wykształceni nauczyli się cenić zmysł praktyczny, i moralną otwartość ludzi prostych, a ludzie prości nauczyli się szanować wartość wykształcenia i wśród ludzi z warstw uprzywilejowanych znaleźli nieraz cechy charakteru i wartości osobistej, które potrafili ocenić: te wszystkie doświadczenia bojowe doprowadzą do atrofii, a może do zamarcia wielu czynników, na których trzymała się ta nienawiść.

Jeśli wojna tą drogą zniszczy pierwiastki psychologiczne, na jakich budowała teoria walki klas, to rewolucja rosyjska śmiertelny cios zada wszelkim praktycznym wywodom tej teorii. Rewolucja rosyjska z przerażającą jaskrawością wykazała rozpaczliwą bezpłodność, — więcej — zbrodnicze niszczytelstwo tej siły, której domniemana moc twórcza miała z prochu podźwignąć nowy świat.

Wszystkie wyrachowania na twórczą myśl *proletaryatu* w organizacji społecznej zawiodły zupełnie.

Bo proletaryat jest nieodrodnym synem kapitalizmu i o społeczeństwie myśli temi samemi kategorjami, tylko źle pojętami, nieprzetrawionemi, nieprzyswojonemi należycie. To samo mechaniczne pojmowanie struktury społecznej, — tylko stokroć uproszczone wskutek prostoty, raczej pierwotności umysłu; to samo balwochwalstwo pieniądze, — tylko stokroć bardziej poziome wskutek większego jego pożądania; to samo cyniczne uznanie dla interesownego egoizmu, tylko stokroć brutalniejsze, bo karmione najpierwotniejszymi instynktami mas. Wreszcie bezwzględność w sprawowaniu władzy i użycie przemocy większe, niż w najreakcyjniejszych okowach oświeconego despotyzmu, bo niepohamowane żadnemi obawami oporu „z dołu“. Zresztą jeśli *walka* klas może coś stworzyć, jak każda walka, to z chwilą zwycięstwa — walka staje się bezprzedmiotowa, ale pozostaje jej psychologiczny podkład tak skrzętnie pielęgnowany i karmiony przez socjalizm: nienawiść.

Nienawiść nigdy nie dobrego nie porodzi. Ale socjalizm tem, że ją teoretycznie uzasadnił i uprawnił, — podciął w masach korzenie zwykłej etyki ludzkiej, która wszak wszelkiej nienawiści kładzie pewien hamulec.

Zwycięstwo proletaryatu, zdało się zwycięstwem socjalizmu, uprawomocnieniem jego założeń — i wyzwoliło z ostatnich hamulców takie fale nienawiści, których dawno na świecie nie widziano. Wśród wojsk walczących nie ma chyba takiej bezprzykładnej nienawiści między ludźmi, jak ta, którą obserwuje się w rewolucyi rosyjskiej. Czerpiąc przytem w źle zrozumianej ideologii socjalistycznej usprawiedliwienie, nienawiść ta z góry chrzei swój przedmiot mianem tego, co nienawidzić pozwolono — nawet kazano. Żołnierze w oficerach, chłopci w obywatelach, analfabeci w nauczycielach wiejskich, tłum ciemny w całej inteligencji widzi burżuazję, i w tej nazwie upatruje usprawiedliwienie swej nienawiści, jeśli tego usprawiedliwienia zresztą szuka.

To podstawianie miana burżuazyjnego pod wszelki przedmiot, dotyczy nie tylko ludzi ciemnych. Wykształceni agitatorzy szczerze, czy obłudnie, robią to samo i przede wszystkim stosują tę metodę do swoich przeciwników politycznych, partyjnych, nawet narodowych. Dla radykalnych partyi socjalistycznych wszystkie mniej radykalne są burżuazyjne, bez względu na to, że w doktry-

nerstwie socyalistycznem wcale swym radykalniejszym oponentom nie ustępują. W tej oszukańczej operacyi należy szukać wogóle źródła tak charakterystycznej dla socyalistycznych partyi zaciekłości partyjnej. Tę zaciekłość tłumaczy teoretycznie uzasadniony kult dla nienawiści klasowej: wystarczy przeciwnika umieścić w myśli w orbicie zwalczanej klasy społecznej, by zatracić w nienawiści wszelki hamulec, — bo wtedy ta nienawiść jest uprawniona przez teoryę.

Żaloszny rezultat tego dzieła nienawiści — to owe niezliczone katastrofy, na które cała Rosya się skarży. Rosyjskie wyrażenia „razwał“, „razrucha“, „nierazbiericha“ najlepiej je malują. Skarga jest zbyt codzienna, by ją warto było pawtarzać, a głębsza analiza tego, co się stało jest rzeczą przyszłości. To zastanawiające zjawisko doczeka się kiedyś wytrwałego dziejopisa, który zestawi te wszystkie fakty, na które dziś patrzymy z za blizka — bez perspektywy, i te bez porównania napewno liczniejsze, których nie widzimy wcale, bo dzieją się w odległych zapadłych kątach. Rosya cała jest, jak w półmroku. Zniszczone komunikacye, nikła ilość wiadomości i decentralizacya zdarzeń sprawiają, że nie można sobie wytworzyć żadnego ogólnego pojęcia o tem, co się dzieje, a te nie-liczne fakty, które dochodzą z różnych punktów tej niezmierzonej przestrzeni swoją rozmaitością i zagadkowością nie pozwalają się nawet domyślać tego obrazu, który nam przyszły historyk odmaluje. W każdym razie będzie to przerażająco ponury obraz.

Rosya zatraciła wszelkie cechy społeczeństwa. Już nie mówię o zupełnem zepsuciu całej maszyny ekonomicznej i komunikacyi, bez których niesposób wyobrazić sobie społeczeństwa, ale w Rosyi dziś niema żadnej opinii publicznej, żadnych pojęć nawet uznanych przez ogół, albo chociaż przez jakąś liczniejszą, wybijającą się grupę. Bo zdawałoby się, że nienawiść połączyła chociaż jakimś węzłem samych nienawidzących. Tymczasem tak nie jest. Zwycięski proletarjat, pognębiwszy burżuazję, bynajmniej nie jest solidarny.

Ciągle dochodzą wieści, że w ośrodkach przemysłowych zwolennicy zwycięskiej partyi liczbowo spadają do coraz słabszych mniejszości, a nienawiść między zwalczającemi się grupami i partyami robotniczemi jest nieublagana. Chłopi, zwycięzcy nad obywatelami, dzielą się na rozmaite grupy, wśród których agitatorzy już odszukują te, które można zaatakować mianem burżuazyi. Nie-

ma żadnej grupy społecznej w Rosyi, któraby stanowiła zarodek twórczości, któraby tworzyła jakiś swój świat, swoją atmosferę, któraby skupiała. Państwo — jedyna rzecz, która w Rosyi żyje — jest bardziej bezduszne, niż najreakcyjniejsza biurokracya. Wszystkie jego działania i inowacye noszą piętno pustej spekulacyi, pozbawionej wszelkiej myśli twórczej. Przytem poziom umysłowy tych spekulacyi jest tak rozpaczliwie niski, że budzi sam przez się obrzydzenie. I niesposób dostrzec żadnego celu tych działań innego, jak za wszelką cenę utrzymać się u władzy i zdobyć jakoś pieniądze.

Nie chcę się zapuszczać w rozmyślenia, które możnaby ciągnąć bez końca wśród tego obfitego materiału, jaki każdy dzień dostarcza. Dla naszego rozumowania ważnem jest tylko skonstatować to, co jest zupełnie widoczne, że właśnie nie co innego jak niepohamowana nienawiść, oparta na teoryi walki klas doprowadziła do zaniku *wszelkiej więzi społecznej*. Ta prawda, że nienawiść może tylko spowodować rozkład społeczeństwa, a nie jest w stanie zrodzić żadnej siły twórczej — ta prawda byłaby dla każdego narodu tak oczywista, że instynkt samozachowawczy nie pozwoliłby mu na dokonanie tej bróby, którą zrobiła Rosya; ta prawda została też eksperymentalnie wykazana w Rosyi. I tu zdaje się będzie grób *teoryi walki klas*.

Sładem zasadniczych przesłanek socyalizmu i cały szereg jego pobocznych iluzyi rozbił się o fakty związane z wojną.

Jedną z nich były np. nadzieje przywiązane przez socyalistów do ambicyi narodowościowych mało rozwiniętych narodów. Socyalisci np. otaczali szczególną sympatją ruch ukraiński. Działacze ukraińscy w Galicyi i na Ukrainie zawsze byli spokrewnieni z socyalistami, i ruch ten szerzył się syecyalnie wśród ukraińskich socyalistów. Socyalistyczne wpływy w Rosyi po rewolucyi Lutowej doprowadziły do proklamowania niepodległości Ukrainy. I zdawało się, że Ukraina stanie się ziemią obiecaną dla socyalizmu. Naturalnie trzeba sobie uprzytomnić jak olbrzymi wpływ wywarły Niemcy i Austrya na rozwój tych koncepcyi. To sztuczne karmienie aspiracyi ukraińskich wiele tłomaczy. W każdym razie zjazd „chleborobów“ i zamach stanu Skoropadzkiego wykazał jak kruchemi były węzły, łączące socyalizm z ruchem ukraińskim, wykazał też, że węzły te były przedewszystkiem wiązane przez Niem-

ców, — i aresztowanie Hruszewskiego pokazało jak łatwo węzły zawiązane przez obcą siłę tą samą drogą rozwiązać. Ruch ukraiński, który w iluzjach socjalistycznych miał być jedną z wielkich fal emancypacji ludu pracującego, okazał się obecnie ostoją reakcji.

Inną znów iluzją socjalistów była ich specjalna sympatya dla Austrii. Springer uważał państwo Austriackie za konieczność, umocnioną warunkami społecznymi i ekonomicznymi. Ile w tym poglądzie było poprostu interesu niemieckiej narodowej ekspansyi, trudno ocenić. W każdym razie dynastyczne interesy nie mogły nań wpływać. Wyrażał się w nim zasadniczy zmysł centralistyczny właściwy socjalistycznej myśli i ta gra polityczna, która pozwalała socjalistom korzystać z walk narodowościowych na terenie parlamentu, dla umacniania swoich wpływów. Nie dziw, że socjaliści austriaccy poświęcili sporo wysiłków i myśli, by znaleźć rozwiązanie dla kwestyi narodowościowych w Austrii, a za wszelką cenę utrzymać całość państwa. Charakterystyczne jest też, że walkę czesko-niemiecką socjaliści traktowali jako przemijający konflikt, możliwy do załagodzenia drogą kompromisu.

Te iluzje austriackie również rozbili wojna i oto w ostatnich czasach Wiedeńska „*Arbeiterzeitung*“ doszła już do przekonania, że Austria istnieć nie może *).

Socjalistyczny sposób pojmowania narodowości był rozpatrzony w osobnym rozdziale. W tem miejscu trzeba tylko z naciskiem podnieść, że wojna zadała klam koncepcyi socjalistycznej, według której narodowość człowieka nie dotyka jego *woli*, a tylko świata uczuć i myśli. Wojna wykazała, że narodowość silniej angażuje wolę człowieka, niż jego interesy ekonomiczne. Przecież proletaryat belgijski np. nie mógł wiele ucierpieć od kompromisu z Niemcami, a jednak nie było w narodzie głosu, któryby ośmielił się przeciwstawić się tej potężnej fali porywu patriotycznego, który nakazał ginąć tysiącami, a nie poddać się. Belgijscy robotnicy woleli popaść w nędzę, niż iść na roboty do Niemiec; nie czulość dla języka i literatury im to podyktowała, tylko głęboka świadomość narodowa, która opanowała ich wolę, ich duszę, całą ich naturę. Ta wojna odkryła ludziom uczucia, porywy i siłę, której sami nie znali, nie domyślali się nawet, że ją mają. To

*) Kiedy te słowa idą do druku, Austria już nie istnieje. — Wyd.

im już nie pozwoli przyjmować na wiarę suchych doktryn, w których człowiek figuruje, jak wyzuty z ludzkich uczuć manekin, poruszany tylko interesem i nienawiścią. Wojna ta przysła jak huragan, jak zesłana przez Opatrzność Nemezis, i jakiegokolwiek będą jej skutki, w każdym razie oczyści dusze z tych śmieci, które w nich zostawiły ostatnie 150 lat z ich egoizmem, socjalizmem, walką klas, apoteozą nienawiści, z ich niewiarą i haniebnem pomniejszaniem człowieka. Człowiek odetchnie szczerzej, odetchnie pełną pierś, poczuje się znów sobą — i do reformy społecznej wniesie coś więcej, niż tę nędzną jednostronność ekonomicznych interesów, do których napróżno starano się wszystkie jego pobudki ograniczyć; wniesie przede wszystkim to, co najgoręcej odczuł, co mu dało najboleśniejsze cierpienie, ale i najwznioślejszą radość — miłość Ojczyzny.

Nie trzeba zamykać oczu, że po wojnie ludzkość długo nie zazna szczęśliwego pokoju. Życie ekonomiczne, troska o chleb powszedni, — prędko wysunie się na czoło zagadnień społeczeństwa. Kwestya społeczna wyrośnie może większa, może groźniejsza, niż była kiedykolwiek. Porwane nici stosunków ekonomicznych, zburzona maszyna normalnej gospodarki, olbrzymia ilość kalek i ludzi niezdolnych do pracy — wszystko to stworzy ogromną nędzę. A cóż jest innego kwestya społeczna, jak wielki głos niedoli ludzkiej, wołającej ratunku?

Jak przed 100 laty, zawoła ten głos do sumień ludzkich, ale też znajdzie inne sołeczeństwo. Minęły czasy, kiedy się zdawało, że głos ten się da zbyć beztroską doktryną: *laisser faire*. Ale też przeżyły się wyrachowania na międzynarodową łączność proletaryatu dla pognębienia eksploatatorów. Ewangelja nienawiści mogła przyjąć się w okresie, kiedy obok nędzy panoszyła się obojętna, pewna siebie sytość. Ogrom cierpień przeżytych przez te kilka lat rozszerzył serca ludzkie i dał wszystkim pojąć, że na niedolę lekarstwem nie może być nienawiść, tylko miłość.

V.

O J C Z Y, Z N A.

Mówią, że kwestyi społecznej rozwiązać nie można, bo zrównać ludzi nie można do tego stopnia, by nie było szczęśliwych i nie-

szczęśliwych, niezależnych i zależnych, ludzi prostych i wytwornych, pracy wykonawczej i pracy twórczej. Naturalnie żadna technika nie usunie konieczności ciężkiego znoju pracy ręcznej, nie wybawi życia ludzkiego od koniecznych czynności podrzędnych i ci, co je spełniać będą, zawsze będą się czuli pokrzywdzeni, i w najlepszym razie z goryczą, jeśli nie z zawzięcią patrzeć będą na tych, co z ich pracy korzystając, innym szlachetniejszym, a w każdym razie mniej znojnym oddają się zajęciom. Żaden ustrój nie usunie i tych różnic między ludźmi, które sprawiają, że jedni, lepiej od natury i losu wyposażeni zdobędą stanowiska kierownicze i przez to lepsze warunki bytu, inni, obarczeni mdłością niezdarnego ciała i ciemnotą pierwotnego umysłu, nie wytrzymają wyścigu życia i będą zmuszeni znosić takie warunki, które z konieczności do przypadających im niższych stanowisk są przywiązane. I gdyby pewnego dnia wszystkich ludzi zrównano, sam bieg życia te różnice na nowo by wytworzył.

To wszystko prawda. Przy całym nieskończonym stopniowaniu stanowisk i warunków ludzkich, nie można zaprzeczyć, że w szerokich liniach zaznaczają się i pewno zawsze zaznaczać się będą te dwie wielkie warstwy bytu: sługi i pana. I choć nie ma i nie będzie ścisłej między nimi granicy, — jak niema np. ścisłej granicy między światem zwierzęcym i światem roślinnym, — choć każdy człowiek prawie jest częściowo panem częściowo sługą, to jednak są ci, co są więcej sługami, i co są tylko sługami, są i ci, co są więcej panami i są tylko panami.

Wszelako w staniu kwestyi społecznej są w różnych epokach historycznych dwie różnice. Z postępowaniem życia zmniejsza się gorycz, niedola i groza tej chmury życia ludzkiego. I były okresy, które w tym postępie stanowią wielkie etapy, które stanowią w istocie swej głębokie rewolucje stosunków społecznych. Taką rewolucją było zniesienie poddaństwa, było zrównanie klas przed prawem. Ale największą taką rewolucją było zniesienie w życiu kulturalnych narodów niewolnictwa. Uprzymiwniwszy sobie, co to za straszliwie wielka zmiana w stosunkach ludzkich, co za wyrzeczenie z jednej strony, co za wyzwolenie z drugiej, doznaje się najgłębszego zdumienia, że tą siłą, która tej zmiany dokonała nie był żaden huragan potężnych namiętności, że była nią pełna łagodności i spokoju potęga Chrześcijaństwa. Największa rewolucya społeczna dokonana została pro prostu przez *miłość*.

Dziś czujemy, że będziemy musieli niechybnie stanąć przed nową grozą kwestyi społecznej; każdy człowiek z sumieniem musi pojąć, że przyszła chwila nowego etapu, że naturze ludzkiej przeznaczono przeżyć jedną nową fazę takiej głębokiej przemiany, z której musi wyjść szlachetniejsza i społeczeństwo doskonalsze. Mimowoli myśl szuka tego nowego światła, które dusze ludzkie do siebie przykuje, które je opromieni, które je uszlachetni i czyni zdolnemi do tej upragnionej przemiany. Dusza ludzka, wstrząśnięta do źródeł swoich wypadkami ostatnich lat, głodna jest czegoś, coby obudziło w niej zamierającą miłość. Po okresie wojen i zawieruchy, która zburzyła świat współczesny, dobrze rozumiemy, że nie może przyjść okres spokoju i spoczynku, tylko musi przyjść okres wzmózonego wysiłku i twórczości. Bo któż może na gruzach spoczywać? Ale jakiejż ogromnej, niespożytej *sily*, jakiej piorunowej iskry trzeba, żeby zdołała w zmęczonych i zgorzkniałych cierpieniem duszach ludzkich wykrzesać ogień prawdziwej twórczej miłości!

My, Polacy, z góry wiemy, że tą iskrą, tą siłą promienną może być tylko *Ojczyzna*.

Tylko Ojczyzna jest w stanie obudzić w naszych sercach miłość bez granic, zdolna obudzić nas do zapamiętałego, niegasnącego zapalu.

Mówią, że można kochać ideę, myśl. Może to być — ale na inne czasy. Nie po tych czterech latach, które serca nasze poruszały o tyle realniejszymi, mocniejszymi czynnikami. Pokolenie, w którym tyle widziano cierpień i śmierci, w którym tyle matek, tyle żon, tyle narzeczonych oplakiwało swoje najdroższe straty, w którym tyle rąk ludzkich goiło krwawiące rany gorejącego bólu, w którym przeżywano oblakany zapal ataków i bitew, takie pokolenie nie pokocha abstrakcyi. To dobre dla serc chłodnych, ale nie dla serc rozpalonych do białości cierpieniem lub uniesieniem; dla nich kawał dotykanej materji ze starego uratowanego w bitwie sztandaru, będzie droższy nad najwznioślejsze idee.

Kochać naprawdę można tylko coś, co ma duszę i ciało. I Boga ludzie nauczyli się naprawdę kochać, gdy zeszedł na ziemię i ukazał im się w ludzkim ciele.

Dlatego klamią ci, co w ojczyźnie chcą widzieć ideę — myśl. Obrażającym bluźnierstwem brzmią te teorie, które każą wam ograniczać swoją miłość ojczyzny do *użycia* jej skarbów — języka

i twórczości, a nie uznają wobec niej obowiązków, które są jedyną miarą miłości. Ojczyzna jest jestestwem rzeczywistym, bo tak gorącą miłością, jak ta, która trawi nasze zrozpaczone serca można kochać tylko rzecz prawdziwą, istniejącą, żyjącą — a nie fikcyę; czyż dla fikcyi mogliby legioniści polscy, uwięzieni w Huszt wołać: „Nie należy krzywdzić nas darami, wymagajcemi zbyt kosztownych rekompensat, los nasz osobisty niechaj nie osłabia zwar tego frontu polskiego, wyroki i kary tylko fizycznie dotknąć nas mogą, dziadów i ojców naszych narodową powinność więzienną kontynuować będziemy bez żalu i urazy z głębokiem przeświadczeniem, że Wolnej, Zjednoczonej i Niepodległej służymy Ojczyźnie“. Jeśli zamarły w sercach naszych stare głosy, czyż ten nowy dowód miłości ojczyzny bez granic może nie odezwać się w nich nowym głosem potężnego przekonania?

Filozofowie rozmyślali nad pytaniem, czy duszą, czy nasze ja istnieje. „Myślę, więc jestem“ — odpowiedział sobie jeden z nich. Lecz ja nie znam bardziej przekonującego dowodu *istnienia*, jak miłość; i dla mnie zagadka istnienia zawsze rozwiązywała się tak: Kocham *Ciebie*, więc *jesteś*. Kocham *Ojczyznę*, więc Ojczyzna *istnieje*. Tego przekonania nie wyrwie z serca i z myśli żadne przewrotne rozumowanie, żadna przemoc.

Więc cóż to jest ta Ojczyzna? Co za treść mieści się w słowach wieszczą, gdy wołał:

„Polsko!..

„Zrzuć do ostatka te płachty ohydne

„Tę—Dejaniry palącą koszulę,

„A wstań, jak wielkie posągi bezwstydnę

„Naga—w styksowym wykąpana mule!

„Nowa—nagością żelazną bezczelna—

„Niezawstydzona niczem—nieśmiertelna!“

Czyż nie czujecie, co są te płachty ohydne? Czy nie widzicie ich w wystąpieniach tyłu tyłu ludzi, którzy do przemawiania w imieniu Polski czują się powołani, a nie chcą usłuchać wielkiego głosu swojej ziemi, i nie wstydzą się słów wyrzeczenia i zaparcia jej Wielkości?

Czyż nie było w historyi naszej chwil, w których wszyscy niemal synowie ojczyzny odgrywali rolę tych płacht ohydnych, — kiedy dla własnego spokoju zapominali o dobru narodu? Czyż może nam wyjść z pamięci ta chwila, kiedy zdawaćby się mogło,

że nie było *ani jednego* Polaka, któregooby Ojczyzna nie powinna „zrzucić do ostatka“, gdyby nie wiekopomne zachowanie Tadeusza Reytana?

Trzeba głęboko wniknąć w wieszczę słowa Słowackiego i do-
brze pojąć ich zastosowanie, by odpowiedzieć sobie na pytanie:
co to jest Ojczyzna?

Widzimy w każdym razie, że jest to jestestwo, które jest czemś
więcej, lub czemś innym, niż proste zestawienie ludzi jednej na-
rodowości. Ileż ludzi jednej narodowości może nie czuć się syna-
mi ojczyzny, czasem może być takich większość, czasem całe poko-
lenia: a jednak Ojczyzna przez to nie przestaje żyć, zamiera na ja-
kiś okres i odżywa w pokoleniu następnem. Ojczyzna ma swój
żywot — dużo dłuższy niż żywot jednego pokolenia. I żywot ten
rozwijał się jakby żywot innej żywej istoty. Miał swoje zaranie,
kiedy z różnych okoliczności, czasem — najczęściej bodaj — zu-
pełnie niewytłomaczonych, rodził się Naród. Wytwarzał się nowy
język. Tworzyło się państwo. Naród się rozwijał, miał swoje
okresy wzrostu, siły, rozkwitu, — okresy szczęścia i tryumfu; miał
i okresy choroby, okresy rozkładu i upadku. Historia Narodu
ma wszelkie cechy organicznego życia. I próżnem byłoby twier-
dzenie, że życie to nie jest niczem innym jak sumą życia ludzi,
składających naród. To nie odpowiada ściśle rzeczywistości. Za
Władysława IV *Polacy* przedstawiali obraz przedziwnego dobro-
bytu i szczęścia, — a *Polska* chorzała: prywatą, niesnaski, upadek
ducha rycerskiego uniemożliwiły jej spełnienie powołania dziejo-
wego, które widział przed narodem król — wojny z Turcyą, która
przecież była, jak późniejsze dzieje wykazały nieuniknioną, a na
dużo gorszą wypadła porę.

Naturalnie Naród nie może żyć czem innym, jak ludzkiemi
czynami, nie może żyć poza ludźmi, którzy do niego należą. Ale
właśnie ofiara z powodzenia, szczęścia osobistego, a nieraz i życia
własnego ludzi, rodzi dopiero życie Narodu, i dlatego życie to na-
biera własnej istności, jakby niebędącej prostym wynikiem życia
jednostek. Przeciwnie, nieraz koleje życia narodu wywierają swój
nieublagany wpływ na życie jednostek. I nie dałoby się ściśle
powiedzieć — gdzie przyczyna, a gdzie skutek, skąd płynie zczą-
tek narodowego czynu. Za Jagielly poczucie konieczności walki
z Niemcami przejęło jakby jakiś tajemny instynkt całą ludność
Polski. Sam Jagiello traktował to niemal jak nakaz Boży. Nie

było wówczas w Polsce dość przenikliwego rozumu, by potrafił przewidzieć wszystkie konsekwencye Grunwaldu, lub wyrozumować jego potrzebę. Ten trafny instynkt, który się w ludziach obudził, pochodził od Ducha Narodu.

Albo dla jaskrawszego przykładu weźmy decyzję Anglii wzięcia udziału w tej wojnie. U ministra spraw zagranicznych mogła to być decyzja przemyślana i przygotowana. Ale decyzja ta stała się w ciągu kilku dni własnością całej ludności, która przez dziesięciolecia karmiona była dowodzeniami o absurdalności wojny z Niemcami. Żadne rozumowanie w tak szybkim czasie nie mogłoby uformować zdecydowanej opinii narodu. Decyzja pochodziła z instynktu. Instynkt ten podyktował Duch Narodu.

Rozumowania filozoficzne, że ten instynkt jest wyrazem świadomości narodowej, czy zmysłu zbiorowego, że istniał tylko w ludziach, nie zaś poza ludźmi, może być prawdziwe, a może być i równie nieprawdziwe, jak rozumowanie, że Bóg istnieje tylko w pojęciach ludzi, albo, że dusza ludzka jest funkcją mózgu.

Spekulacya jest bezpłodna. Chodzi o stwierdzenie pewnego *faktu*, który jest tak trudny do wyrażenia, że wyrazy gubią się w dociekaniach myśli, który jednak sam przez się stoi jasno, jak słońce, w świadomości człowieka, kochającego Ojczyznę. Dlatego ten fakt łatwiej dochodzi do uzewnętrznienia w utworach poetów, niż w ścisłym rozumowaniu. Jest to fakt z tych kategorii, które nie były przedmiotem ścisłych nauk, tylko prostych opowieści, — jakie w gruncie rzeczy stanowi historia, albo czynów, albo pieśni. Dlatego chcąc o nim mówić ściśle, natrafiamy na tyle trudności i dlatego sam fakt budzi tyle wątpliwości.

A jednak nie umiem znaleźć innego sposobu zobrazowania tego faktu, jakim jest *naród*, jak pod postacią samodzielnego jestestwa, wywierającego przemożny wpływ w pewnych chwilach na decyzje ludzkie, które stają się objawami życia tego jestestwa, stanowiąc nieraz o śmierci masowej jednostek, a ogromem swoim znacznie przerastając świadomość i pojemność umysłu szerokiego ogółu ludzi; że ludzie mogą odmówić posłuszeństwa temu jestestwu, i czasem odmawiają i to odzywa się zgubnie na życiu tego jestestwa, zachowując przy życiu jednostki, a wbrew wszelkim ich przewidywaniom czyniąc je nieszczęśliwymi. Jestestwo to jest w stanie obudzić nieskończenie silne uczucie miłości, znacznie nieraz przerastające tę miłość, którą człowiek odczuwa do drugiego

człowieka. Zjawiska z tej dziedziny są tak zawile, że nie możnaby ich wyrazić inaczej, jak swobodnie operując pojęciami życia tego jestestwa, jak gdyby było czemś podobnem do życia ludzkiego.

A z gruntu fałszywem jest pojmowanie zjawisk życia i woli tego jestestwa jako sumy zjawisk życia i woli poszczególnych ludzi lub ich większości. Bywają niekiedy chwile, kiedy większość ludzi do narodu należących popelnia czyny sprzeczne z oczywistą wolą Narodu. Kiedy wszyscy Polacy milczeli, a prawowici przedstawiciele narodu akceptowali milcząco rozbiory, wola Narodu wyraziła się *niewątpliwie* w postępku jednego Reytana. Znając późniejsze koleje dziejów, możemy też ze znaczną pewnością twierdzić, że wolę Narodu pojął i chciał jej być posłuszny jeden Władysław IV, a szlachta jej nie pojęła, bo ją oślepiła prywata.

Mówiliśmy wyżej, że naprawdę kochać można tylko coś, co ma duszę i ciało. W zwykłych naszych pojęciach o Narodzie przede wszystkim mamy na myśli jego duszę: twórczość narodową, ideę narodową w polityce, wskazania historyczne, ducha narodowego w sztuce, nauce, literaturze. Ale Naród ma ciało, które nam go dopiero czyni zrozumiałym, bardziej dostępnym sercu, i bardziej bezpośrednio działa na wolę. Przedewszystkiem wchodzi tu w grę *ziemia*. Związek, jaki zachodzi między człowiekiem a jego ziemią ojczystą jest jednym z najtajemniejszych i najpiękniejszych zjawisk życia. Czy zielen jej świeższa, czy powietrze jej wonniejsze — nie pojmie pielgrzym na obczyźnie wędrujący, czemu ziemia rodzinna taką głęboką, niczem nie ukojoną budzi tęsknotę.

Nikt tak, jak Polacy, nie jest w stanie zrozumieć przywiązania do ziemi rodzinnej, której ćwiartowanie odzywa się w duszach naszych takim bólem, jak umęczanie jakiejś najdroższej istoty. I próżno byłoby szukać w tem uczuciu jakiegoś zawiedzionego wyrachowania. Naprawdę nie chłodny rozrachunek zmniejszonego bogactwa, mniejszych podatków, trudniejszej gospodarki państwowej wywołał w mieszkańcach najodleglejszych kątów kraju okrzyk buntu i cierpienia przy odrywaniu Chełmszczyzny; było to uczucie bezpośrednie, prosty ból z dokonywanej przemocy nad ciałem ukochanego narodu. Gdybyśmy widzieli jak kochanemu przez nas człowiekowi odejmują rękę, bolelibyśmy nad tem nie wskutek chłodnego rozumowania, że będzie mu źle bez ręki, ale w poczuciu, że człowiek-kaleka w pewnej mierze przestaje być zupełnym sobą, traci swoją *całość*. I w tej utracie całości jest jakiś

beźmierny przyrodzony smutek. Otóż podobne pożądanie całości odczuwa wierny syn Ojczyzny względem jej terytorium.

Z jakąż lubością z wybuchem wojny kreśliliśmy na mapach granice przyrodzone Polski! Wyzbyci wszelkiej zachłanności, umęczeni półtorawiekowym ówiartowaniem, nie wznawialiśmy snów o potędze minionej, o postrachu sąsiadom, którzy tylokrotnie zdążyli nas przerosnąć: najgorętszym marzeniem uczyniliśmy tylko tę przyrodzoną *całość*, która jest źródłem bezpośredniej wewnętrznej radości.

Jak źle się czujemy w nieforemnym, zbyt długim np. pokoju, tak ludność państwa musi się źle czuć w nienaturalnych bezsensownych granicach. A ileż tych bolesnych doświadczeń musieliśmy przeżyć! Granice państwa, określające w sposób zrozumiały i dostępny jego całość mają niezmierny wpływ na usposobienie ludności. Zrównowazenie, organiczność myśli, charakterystyczna krótkość i okrągłość zdań Anglika, oprócz całego szeregu innych podobnych właściwości, jest jakby odzwierciedleniem tej największej jasności granic państwowych z jakiej korzysta naród wyspiarski. Odwrotnie rozlewność granic Rosyi, które od Zachodu stanowią pas sporny całej ziemi białoruskiej, od wschodu — ziemię sporną całej Syberyi, od południa — sporne terytorium całej Ukrainy, nie może się nie przyczyniać do tej obłądnej niemal mętności myśli, którą odznacza się Rosyanin. To samo nie może też nie przyczyniać się do tej typowej dla Rosyan bierności, bo przy tak szerokich granicach, ludzie tracą zmysł *konieczności obronnej*.

Naturalnie, pojęcie *całości* państwowej jest pojęciem geograficznym, a nie etnograficznym. Jeśli godzimy się na granice etnograficzne, to dlatego, że w niewielkiej z nimi rozbieżności Polska może stanowić całość geograficzną, a zachowanie tych granic jest ogromnem ułatwieniem stosunków z sąsiadami. Spory graniczne są nieuniknione, ponieważ polityka wymaga ścisłych rozgraniczeń, podczas, gdy powszechnem prawem antropografii jest, że granice między osadami ludzkimi stanowią nie linie, a węższe lub szersze pasy. Ale z tego, że trudno określić granice nie wynika, by naród nie miał przyrodzonego terytorium, tak samo jak z tego, że trudno określić granice między światem zwierzęcym i roślinnym nie wynika, by nie było tych dwóch odrębnych, bardzo różnych od siebie światów przyrody.

Lecz tylko terytorium stanowi ziemię ojczystą — to cia-

ło Narodu. Kto z tej strasznej tulaczki rosyjskiej wracać będzie do Polski nie sztucznymi kolejami, lecz — bliżej ziemi przyrodzonym pojazdem konnym lub pieszo, ten pewnego dnia znajdzie się nad szeroką kotliną Narwi i oczom jego przedstawi się ten upragniony widok, o którym lata w nieutulonym żalu śnił. Ujrzy tam, za pasmami łąk i pól to, co jego serce najżywiej poruszy — smutną i szarą, ale swojską wieś polską. Chaty słomą kryte, w sadach tonące, olszynkę nad strumykiem i zdala nad widnokregiem dwie strzeliste wierze kościoła. I pojmie, że z ziemią polską nieodłącznie związane są te wsie, co jakby z niej wyrosły. Ta Wólka, to Polonne, to Korzeniste, to Wysokie—wszystkie nazwy wsi polskich stanowią jakby utwierdzone i umocnione wiekami węzły, które wiążą człowieka z jego ziemią. Kto wie, jak powstały te nazwy? nie rozum je zrodził, tylko jakiś instynkt pokrewny surowym siłom przyrody.

Dlatego taki niewytłomaczony ostry ból wywołuje w nas każda zmiana Bydgoszczy na Bromberg, Inowrocławia na Hohensalza, Poznania na Posen i t. d. Bo jest w tem jakieś zdrożne gwałcenie natury. Nic tak, jak te zmiany nie odtwarza istoty gwałcącego stosunku Niemców do naszej ziemi. Mury i stare gmachy Poznania, tak samo jak Wawel i Sukiennice i zamek Warszawski i ulice Starego Miasta — są ciałem Polski. I znów jakże dotkliwym było dla nas bólem patrzenie na te obce cerkwie, panoszące się w naszych miastach — bo w nich widzieliśmy każenie obrazu zewnętrznego narodowego życia, — był to też gwałt dokonany nad ciałem naszej Ojczyzny.

Ciałem Narodu jest wreszcie jego język. Jest to jakby sakrament, który dokonywa tajemniczy połączenia człowieka z Ojczyzną. I znów nie jest to zdobycz rozumu, nie jest to też świadome tworzenie skarbów narodowych przez człowieka. *Naród* tworzy język, a człowiek biernie go przyjmuje. I znów gwałt wrogich sił nad językiem Narodu, gwałt, wyrażający się w jego lekceważeniu, w ograniczaniu jego praw, budzi najżywsze bodaj i najdotkliwsze poczucie krzywdy. Bo chociaż gwałt dokonany nad ciałem Narodu, może być na chłodno uważany za mniej doniosły niż gwałt nad jego duszą, przecież to on właśnie wywołuje ten ostry, jakby fizyczny ból, który odkrywa nam całą głębię i dotykálną rzeczywistość naszej miłości Ojczyzny.

Tak samo Bóg, — który wszak właśnie duszami kieruje

i w duszach ludzkich mieszka, musiał ukazać ludziom swą cielesną mękę, by dać im pojąć i odczuć nieskończoną do nich miłość. Ludzka radość z tej miłości wyraziła się tak jaskrawo w słowach: „słowo stało się ciałem i mieszkało między nami“. Bo człowiek na ziemi nie samym jest duchem, tylko składa się z duszy i z ciała.

Chcąc widzieć szczęście Ojczyzny, też pragniemy, by „stała się ciałem i mieszkała między nami“.

I oto staje przed nami pytanie: czym jest szczęście Ojczyzny, i w czym ono w życiu naszym ma się wyrazić. — Odpowiedź na to pytanie bodaj jest nie mniej trudna, niż na pytanie, czym jest szczęście człowieka. Wiemy, jak jałowem jest dążenie do własnego szczęścia, które osiągają zwykle ci, co do niego nie dążą. Ale nie jest jałowem dążenie do szczęścia innych. Dlatego też nie jest jałowem dążenie do szczęścia Ojczyzny. Określić tego szczęścia słowami nie można, tak samo jak nie można przeniknąć tajemnicy życia. Wszelako są dwa zasadnicze pragnienia, w które ująć można dążenie do szczęścia Ojczyzny: to zachowanie i podniesienie *godności i rozkwit*.

Szczęście nie jest zdobyczą absolutną i wyraża się raczej w dążeniach. Owóż te dwa warunki są nieodzowne, by dać człowiekowi poczucie szczęścia swej ojczyzny. Biada narodowi, który dla rozkwitu zaniedba godność. Polska była u szczytu swego rozkwitu, kiedy zaniedbanie jej godności stało się początkiem jej gorzkiego upadku. Szlachta i magnaci opływali w dostatkach, pławili się w swoich wolnościach i swobodach; i Polska kwitła pracą, bogactwem, kulturą; ale Polacy nie wstydzili się płacić haraczu Tatarom. Szlachta cieszyła się, że „w tem powszechnem świecie chrześcijańskiego zamięszaniu (podczas wojny trzydziestoletniej)... my sami spektatorami cudzej niewoli będąc, żalujemy pożaru zgubionego sąsiedztwa, oni nam naszego szczęścia zazdroszczą“; a na postawione przez króla oświadczenie, że Chan krymski domaga się „plugawych upominków trybutu“, którym „jeśli Ordę na nowe szkody i kajdany braci naszej posilić, albo jak wolnemu narodowi przystało, wzgardzić należy, sama Rzeczpospolita niech rozstrzygnie“—Rzeczpospolita z całą małodusznością wołała, by lepiej „plugawe upominki“ posyłać, jak wyjść ze spokojnej roli spektatorów i na wojnę się narazić.

Do wielkiego szczęścia ojczyzny niewątpliwie należy rozkwit. I wówczas szczęście Ojczyzny gorącą falą rozgrzewa i uszczęśliwia

serca jej synów. I naprawdę nie może być dla człowieka pełniejszego pojęcia szczęścia. Niedarmo taki okres szczęścia Ojczyzny pod mianem złotego wieku do potomności przechodzi. Ale nie osiągnie go naród, w którym *ludzie w szczęściu Ojczyzny własnego szczęścia szukają*.

Jest to prawda stara, jak świat, że tylko z ofiary szczerzej i gorącej rodzi się szczęście. Inaczej człowiek łatwo popada w ten błąd, że tylko własnego szczęścia szukając, o szczęściu ojczyzny zapomina. I musi go wcześniej czy później spotkać zawód. „Szczęścia w domu nie zaznał, bo go nie było w ojczyźnie“ — te proste słowa Mickiewicza powinny być jak ewangelja wyrte w każdym sumieniu.

Jest to niebezpieczeństwo wielkich i ważnych chwil życia Narodu, że ludzie chłodną rozważą dążąc do rozkwitu, którzyby im zapewnił szczęście własne, łatwo zapominają o nieodzownym warunku szczęścia Narodu: zachowaniu jego godności. Niestety, bywają synowie ojczyzny, którzy tej godności nie odczuwają. I oto dziś, kiedy zdawałoby się, że wolność nasza zmartwychwstała, Naród nasz narażony jest na ustawiczne zniewagi, ubliżające jego godności. Przecież tych zniewag ani zlekceważyć ani zapomnieć nigdy gorący Polak nie będzie w stanie. Cóż warta godność tych synów Ojczyzny, którzy z góry gotowi są zobowiązać się do „plugawego trybutu“ wymuszonych sojuszków — i to z tym samym narodem, od którego ciągle doznajemy zniewag?

Wogóle w postępowaniu niektórych polityków widać szczególnie mało poczucia odpowiedzialności przed przyszłością. Polityka niekiedy wydaje się poprostu przedmiotem dowolnej spekulacji umysłowej, idącej na usługi bądź interesom, bądź ambicyom. Powstaje nieskończona ilość partyi, każda z nich musi czemś się różnić od innych, tą drogą z polityki robi się tylko gra ambicyi i poglądów — a nie służba ojczyźnie, czem polityka być powinna. Gdyby ludzie, biorący się do polityki czynili to z *poczucia obowiązku*, nie można wątpić, że w tem poczuciu spotkaliby się wszyscy w dwóch najwyżej ugrupowaniach. Prawdziwa odpowiedzialność, jak każdy ciężar, który się nad sobą czuje, skłania ludzi do zgody — do łączenia wysiłków. — Ale w dzisiejszych czasach polityki nie uważa się za obowiązek, tylko za *prawo*. U źródła tego sposobu patrzenia na politykę jest z gruntu fałszywe pojęcie o narodzie.

Naród w powszechnie panującym pojęciu, zgodnie zresztą

z prawnem określeniem tego wyrazu — to zestawienie indywidualnych jednostek; wola narodu — to jakaś wypadkowa tego całego mechanizmu przedstawicielstwa, za pomocą którego indywidualne jednostki swoją wolę w sprawach narodowych wyrażają. A ponieważ ten wyraz woli obywatela w sprawach narodowych stanowi jego *prawo*, przeto każdy obywatel uważa, że mu wolno inicjować taką politykę, jaką mu się spodoba wymyśleć. Nad tem, co wymyśli — niema kontroli, zatem jest to rzecz jego osobistego sumienia — lub poglądu. Ile na te pomysły wpływa interesów i ambicyi, jeden Bóg ocenić może. Ale nietrudno dostrzec to i sumiennemu a przenikliwemu obserwatorowi.

Tymczasem w istocie każdy człowiek biorący się do polityki przedewszystkiem swego sumienia powinien zapytać jaki *obowiązek* nakazuje mu tworzyć nową partycę? Trzeba uprzytomnić sobie Naród, jako całość, jako to wielkie jestestwo, żyjące tysiącolecia, i rozemnać wtem życiu wagę i znaczenie chwili, jaką przeżywa, trzeba wniknąć w organiczny proces narodowego życia i poczuć w sobie skromną rolę komórki w tym wielkim organizmie; trzeba odczuć ten ciężar ofiary i obowiązku, który nakłada na nas ta rola, trzeba pojąć, że bynajmniej nie wszyscy obywatele tę rolę odczuwają, — ba! iluż jest, co się boją poczuć w żyłach puls narodowego życia, bo przeczuwają wstrząsającą nieraz moc jego tętna, trzeba zrozumieć, że dopóki tej roli ofiary i obowiązku nie przyjmą — ich *prawo* do polityki, do wyrazu woli narodowej jest czezę juredyczną fikcyą, bo nie mają prawa moralnego: gdyby z takiego stanowiska przystępowano do polityki, nie byłoby w Polsce *kilkudziesięciu* partycy politycznych, bo — powtarzam — poczucie obowiązku łączy ludzi, tylko dochodzenie swych praw ich rozprasza.

Właśnie to jest nieszczęście, że pierwsze zaczątki wolności tyłu nas zużyło na dochodzenie swych praw do polityki! Gubi nas to, że wolność pojmujemy na sposób osobisty; zdaje nam się, że my, ogół, obywatele, *jacykolwiek jesteśmy* stanowimy *naród*, i zatem niema nic, niema żadnej dalszej instancyi, której wolnoby się mięszać do tego, *jacy jesteśmy?* To fałsz. Pomyślmy o przyszłych pokoleniach, przypomnijmy sąd historii nad przeszłymi pokoleniami, a zrozumimy, że ta instancya *jest*, i że jest nie w abstrakeyi, a w rzeczywistości, że wystarczy zrobić wysilek moralny, pokornego samozaparcia, i zapytania się nie o swoje prawa, a o swoje

obowiązki: i ta rzeczywistość stanie się dla nas jasna, ujrzymy ją w sobie, w sobie odnajdziemy odbicie umiłowanej Ojczyzny, która wiernemu i sumiennemu synowi podyktuje sama jego obowiązki. Ale do polityki trzeba przystępować jak do modlitwy, z duszą czystą, wolną od małych celów i tej okrutnej obłudy względem samego siebie, która każdą pracę polityczną plugawi. I tylko ci, co tak pojmują politykę, mają istotne *prawo*, prawo moralne do wyrażania woli narodu; innym tego prawa należy zaprzeczać. Zapytają — jak poznać tych niewiernych? *Trzeba* poznać za wszelką cenę, trzeba badać ich życie, demaskować, walczyć, — nie wolno wybaczać: tu idzie o życie Ojczyzny. Im więcej będzie wiernych, tem łatwiej poznacie niewiernych.

Angielski dyplomata, Buchanan, powiedział na jakiejś uroczystości polskiej: „Była ongiś deklaracya praw człowieka, przyszła dziś era na deklaracyę praw narodów“. Wielkie to i mądre słowa.

Dlaczego to dziś przyszła era na deklaracyę prawa narodów? Oto wojna uprzytomniła ludziom ogrom *prawa* Narodu. *Naród* ma *prawo* synów swoich bez ograniczenia i liczby *posyłać na śmierć*. Owóż takie prawo nad człowiekiem może mieć tylko *własny* naród, nie obcy, bo wówczas to prawo staje się groźną potwornością, przeciwko której burzy się cała natura ludzka. — Ale deklaracya praw narodu już nie godzi się z deklaracyą praw człowieka.

Jeśli prawo Narodu ma być najwyższe, to człowiek ze swych praw musi na korzyść Narodu ustąpić. Teorya „kontraktu społecznego“ nie odpowiada pojęciom o Narodzie, opartym na nieskończonej miłości Ojczyzny.

Człowiek rodzi się w *Narodzie*, i z urodzenia samego wypływają dla niego *obowiązki*. Według koncepcyi „praw człowieka“ obowiązki te są wynikiem „kontraktu społecznego“ i wypadną tak, jak je pojmie większość. Według koncepcyi „praw Narodu“ te obowiązki są przyrodzone *niezależnie* od tego, czy je pojmie większość, czy nie pojną nawet wszyscy synowie Ojczyzny. Jeśli synowie Ojczyzny zaprą się swoich przyrodzonych obowiązków — Ojczyzna musi chorzeć. I zdrowie Ojczyzny będzie w prostym stosunku do ilości ludzi, pojmujących swoje względem niej obowiązki, i od głębokości myśli i czucia, jakie w tem pojęciu wykażą i od siły woli, z jaką je w czyn wprowadzą.

Podówczas, kiedy pojęcia monarchiczne miały głębokie korzenie w społeczeństwach Europejskich, rozumiano owe obowiązki jako powinne królowi i jego domowi. Rewolucya pojęć — w znacznym stopniu pochodząca z rewolucyi Francuskiej, powoli zrobiła z monarchy zwykłą osobę, z jego woli — kaprys, z poczucia obowiązku względem niego — poddaństwo i niewolę. Dochodzenie *praw* człowieka, które stanowi treść myśli społecznej wieku XIX, w znacznym stopniu podkopało poczucie obowiązków; prąd myśli wolnościowej zdązał do uczynienia z nich prostego posłuszeństwa jakiemuś mętnemu autorytetowi, który nazwano demokracją lub wolą większości. Rozumiano, że wskazówki stąd wypływające i określające obowiązki ludzkie są wypadkowym rezultatem regularnego sprawowania przez obywateli swoich *praw obywatelskich*, których zabezpieczenie rozumiane jest jako jedyny realny cel tych wskazówek i przepisów, które dyktują obowiązki. Stąd dążenie do ograniczenia tych obowiązków do minimum.

Wojna ta uprzytomniła ludziom maximum obowiązków obywatelskich. I musi ona uprzytomnić ludziom, że nie prawa obywatelskie są celem życia narodowego i organizacji państwowej, tylko życie i szczęście Narodu. I że cały aparat demokratyczny — wybory, głosowania, prawo większości — to tylko mocno niedoskonałe życiowe sposoby określenia wymagań czegoś zgoła innego, niż suma indywidualnych opinii, czegoś, co jest wyższe i ma wyższy autorytet od wszystkich indywidualnych opinii: — rzeczywistej *Woli Narodu*.

Cała tajemnica szczęścia ludzkiego polega na tem, że osiągają je nie ci, co do niego dążą. Ta prawda dotyczy nie tylko życia indywidualnego, lecz i społecznego. Jeśli przypomnieć sobie najświetniejsze okresy dziejów naszych — szczęście ludzkie przepelniało kielich życia, ale były te okresy zawsze wynikiem ofiar i znojąć. Kazimierzowskie szczęśliwe czasy przyszły po znojnym latach Łokietkowych, złoty wiek był jeszcze owocem Grunwaldu.

I zresztą niema szczęścia równie pełnego, równie bujnego w osobistym życiu, jak wielki tryumf w życiu narodowym. Niedarmo jednemu z obywateli francuskich na wieść o wylądowaniu we Francyi Napoleona po jego zwycięstwach egipskich, kiedy naród poczuł, że idzie jakaś siła dobroczynna, która go wyratuje z nieszczęść, w jakie go wtrąciła rewolucya, serce pękło z radości. Nam, cośmy przez tyle lat radości naszego życia osobistego przeżywali

na tle nieszczęścia narodu, lepiej jak innym wiadomo, co warte te radości bez tego niezglębionego podkładu, jaki im dopiero daje Szczęście Ojczyzny. Dlatego wiemy dowodnie, że zawiodą się ci, którzy będą szukali szczęścia własnego. A ci, co szukać będą szczęścia Ojczyzny, znajdą w niem i własne.

VI.

OJCZYŻNA I LUD.

Chrystus powiedział: „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wniknąć do Królestwa Niebieskiego“. Wielu ludzi nie rozumie całej mądrości tego powiedzenia. Biorąc jego dosłowne brzmienie, tłumaczą je jako *nakaz ubóstwa*. Jako taki wydaje się on naturalnie ludziom, nie czującym powołania zakonnego, pozbawionym praktycznego znaczenia, biorą go jako jeden więcej dowód, że Bogu mili są ci, co, jak zakonnicy, czynią śluby ubóstwa.

Tymczasem w rzeczywistości powiedzenie to ma znaczenie inne, i zupełnie praktyczne, życiowe. Trzeba zauważyć, że „ucho igielne“ — była to nazwa jednej z bram miasta Jerozolimy, przez którą dla jej małości, zwykle przechodzili tylko piesi. Nie była ona jednak dla wielbłąda taką nieprzewyciężoną przeszkodą, jak rzeczywiste ucho igły. Może wymagałoby przejście przez nią wyjątkowego wysiłku, może pokornego schylenia, może przeczolganiania się na kolanach, lecz nie było rozumiane, jako rzecz niemożliwa. — W takim rozumieniu nabierają święte słowa Chrystusa znaczenia nie nakazu, a rzeczywistej, psychologicznej prawdy. Bo w istocie bogactwo, użycie, — i co więcej pożądanie bogactwa, interesowność — stanowi głęboką przeszkodę do osiągnięcia tej czystości i wzniosłości moralnej, tej harmonii wewnętrznej i promienności duszy, która człowieka wprowadza do Królestwa Niebieskiego.

Chociaż Królestwo Niebieskie jest dla wierzącego człowieka pojęciem dużo szerszem, nie czysto subiektywnem, w każdym razie jest to kraina szczęścia, — jedyna prawdziwa i niezawodna. Owóż bogactwo daje tyle pozorów szczęścia, że oczywiście stanowi przeszkodę w dążeniu do szczęścia prawdziwego, myli drogę. Trzeba mieć dużą i głęboką świadomość celów moralnych, by na drogach

do bogactwa nie zbłądzić; ale bynajmniej z tego nie wynika, że droga do szczęścia zawsze się mija z drogą do bogactwa.

Tajemnica bogactwa polega na tem, że jest ono dobre wówczas, gdy nie jest celem, a skutkiem szczęścia. Człowiek, któremu się w życiu powodzi, którego praca jest płodna i udana, jest szczęśliwy dlatego, że mu się powodzi: to daje mu poczucie pełni i celowości życia, choćby długo nie dochodził do bogactwa; a jeśli to powodzenie da mu bogactwo, może ono jeszcze opromienić i utwierdzić jego szczęście, ale nie jest tego szczęścia nieodzownym warunkiem.

Ale tego ludzie zwykle nie rozumieją, uganiają się za marą dóbr i sukcesów materyalnych, mijają się z drogą do Królestwa Bożego.

Z Ojczyzną jest tak, jak z Królestwem Bożem. Szczęśliwa Ojczyzna jest Królestwem Bożem. Szczęśliwa Ojczyzna da i Tobie szczęście — bogactwo. Ale jeśli szukać będziesz swego szczęścia, licząc na to, że z niego i Ojczyzna skorzysta, zmniejsz się i ze swoim i z Ojczyzny szczęściem. Jeśli zaś zapomniawszy o sobie dążyć będziesz do *szczęścia Ojczyzny*, znajdziesz własne.

Owóż, ponieważ prawda Boża uczy, że biednym łatwiej wejść do Królestwa Niebieskiego, to dlatego, że nie zwodzą ich drogi bogactwa. Łatwiej może im też będzie znaleźć drogę do szczęścia Ojczyzny, bo nie zwodzi ich gorączkowa żądza na manowce dróg bogactwa i szczęścia własnego.

Mnóstwo jest tych dróg zwodniczych, po których ludzie szukają w Ojczyźnie tylko szczęścia własnego. Jedni szukają urzędów i tytułów, inni okazyi do interesów i korzyści pieniężnych; szlachetniejsi radziby jaknajprędzej wdzieć siebie udrapowanych w szaty wielkiej doniosłości dziejowej; najczęstszy są ci, co w Ojczyźnie widzą niewyczerpane źródło do nasycenia swej pychy. Pycha pcha ich do polityki, bo poprostu chcą błyszczeć, chcą być na widowni, chcą mieć wpływy, chcą mieć słuchaczy i wykonawców swych zamysłów. Jakże często ludźmi sami siebie niepojętem dla się, mętnie przez mgłę nieświadomości widzianem widmem dobra Ojczyzny, wtedy, kiedy tylko pychę swą mają w sercu! Zjawisko to jest tak powszechne, że nikogo nie dziwi, wydaje się przyrodzonym prawem obywatela. Ambicya w polityce jest uznana, chwaloną nieraz, pobudką w polityce; ambicya ma swoje prawa; i kiedy trzeba robić zgodę w narodzie, ileż wysiłku idzie na zaspo-

kojenie ambicyi. Ileż razy poświęca się dla niej zasługę i wartość! Ambicye polityczne mają *prawa*, skutkiem których za szkodliwe niemal się uważa stronnictwa, czy partye, mające dużo tękich sił, bo zajmują miejsce ambitnym miernotom. Czyż nie potworne są te prawa ambicyi, które są nietylko tolerowane, są faktycznie *uznane* w opinii publicznej? Otrząśnijmy się z tego zwyczaju, który nam każe opłatą danin płytkim ambicyom kupować zgodę narodową, i spojrzymy prawdzie prosto w oczy: zaiste, potworny, „plugawy“ jest każdy haracz, płacony temu molochowi. Oswoiłiśmy się z nim tak łatwo tylko dlatego, że ostatni wiek w całej Europie tak konsekwentnie wyganiał wzniosłe i godne pojmowanie Ojczyzny z polityki państw Europy, że demoralizacya stała się czemś z przyrodzenia do tej gałęzi działalności ludzkiej przywiązaniem. Niedziw, że tyle szlachetnych umysłów z obrzydzeniem się od niej odwraca.

U nas te trybuty molochowi ambicyi rozwinęły się specjalnie w tej fazie wojennej naszej polityki. Wpływała na to ustawiczna konieczność robienia „zgody narodowej“ wobec wielkich krytycznych chwil historycznych, i przełomowych decyzji. Z drugiej strony brak zupełnie możności odwołania się do Narodu, jak się to mówi. Niema tej uznanej formy uprawnienia decyzji i programów politycznych drogą wyborów i głosowań, w których upatrujemy jedyną miarę ich słuszności i prawdy. Dlatego z utęsknieniem i z zaufaniem wyglądamy tej chwili, kiedy prawomocne ciało przedstawicielskie usankejonuje tę lub inną politykę Narodu. Decydującą rolę w tej decyzji odegra lud. I ze spokojem i z pełnem zaufaniem czekamy tej decyzji i wierzymy, że z nią wejda do naszego życia narodowego nowe, doniosłe wartości.

Jeśli z nadzieją i zaufaniem oczekujemy wielkich wartości politycznych od ludu polskiego, to nie dlatego, abyśmy szukali wielkiego szczęścia w udarowaniu temi samemi prawami ambicyi politycznych, z których tylu ludzi na szkodę Ojczyzny korzysta. Sam tryumf zasad demokratycznych byłby słabą pociechą, gdyby z żywego udziału ludu w życiu Narodu nie miała wyjść dla niego specjalna korzyść.

Ta nadzieja, to zaufanie do ludu opiera się właśnie na tem przekonaniu, że „biednym łatwiej wejść do Królestwa Niebieskiego“, że jeśli do polityki doprowadzi nasz lud jego miłość Ojczyzny, będzie to miłość czystsza, bardziej bezinteresowna, -- jednocześnie

prostsza, bardziej instynktowna, bogatsza w jasne wskazania niż w zawilą grę interesów i ambicji.

Ale o to właśnie chodzi, by go wyprowadziła na widownię miłość Ojczyzny, a nie gra interesów. Jest to oczywiście droga pełna trudności i cierniów, trzeba sobie z tego jasno zdawać sprawę. Wprawdzie udział ludu usunie z polityki naszej cały legion miernot i lichych ambicji. Ale na ludzie oprzeć się i znaleźć posłuch mogą dwie siły: rzeczywista zasługa i rozum z jednej strony, z drugiej — demagogia, schlebająca jego poziomym interesom i złym instynktom.

Zbyt jaskrawy przykład niebezpieczeństwa demagogii dała nam Rosya, byśmy mogli nieodczuwać całej jego potwornej grozy. Ale też dał nam ten przykład doświadczenie, dał nam możność głębokiego zrozumienia i odcyfrowania do ostatnich szczegółów tego zjawiska, które pozostanie zawsze jedną ze strasznych tajemnic społecznego bytowania ludzkiego. Gdyby zresztą ludziom w ich postępowaniu wystarczyły wskazania mędrców, gorzkie to doświadczenie nie byłoby potrzebne, bo to co w naszych oczach się dzieje w Rosyi, można było przewidzieć i przepowiedzieć. Już Arystoteles i Tomasz z Akwinu z całą przenikliwością i trafnością opisali ten sam bieg zdarzeń, który jest nieodzowną konsekwencją forsownego wprowadzania w czyn bezwzględnych zasad apriorystycznych bez liczenia się z rzeczywistością. W Rosyi zaraz po rewolucyi, nad rozumnym dążeniem do wolności wzięła górę żądza wprowadzenia bezwzględnych zasad demokracji — jako drogi do socjalizmu. By w krótkości przedstawić co się stało, przytoczę szkieletowe streszczenie teoryi Arystotelesa i Tomasza z Akwinu *).

Są dwa gatunki demokracji, które z konieczności zlewają się ze sobą.

„Jedna, to ta, gdzie cały tłum jest wszechwładny, bez różnicy fortuny ani cnoty; w tej demokracji panuje równość powszechna między wszystkimi obywatelami. Druga demokracja to ta, w której tłum rządzi nie według praw, lecz za pomocą dekretów dotyczących poszczególnych faktów i nie mających wagi ogólnej.

*) . Czerpię to streszczenie z książki Charles Maignan, Nationalisme etc. Paryż, Victor Retaux, 1901, str. 418 i t. d. (Ta znakomita książka wyszła niedawno w streszczeniu w przekładzie polskim P. Wład. Glinki w Warszawie *Przyp. wyd.*).

„Jak ta ostatnia forma demokracji, najgorsza i najbardziej tyraniczna ze wszystkich, wylania się z pierwszej?

„Jest to dzieło menerów, których filozof grecki nazywa demagogami.

„W demokracjach, w których prawo jest postawione ponad wolą ludu, rządzą nie *demagodzy*, lecz „*arystokraci*“ (po grecku zn. najlepsi), bo lud jest kierowany przez prawa a nie przez wolę ludzi.

„Lecz kiedy wola ludu postawiona jest wyżej, niż prawo, wtedy zjawia się demagog, bo lud, nie wiedząc czego chce, potrzebuje kierownika. Tym kierownikiem jest mówca, który pozyskuje łaskę ludu przez pochlebstwo.

„W tej formie demokracji znajdują się ludzie, którzy wynoszą doskonałość ludu, mówiąc, że wszystko z niego wyłonić się powinno, i że żaden obywatel nie może być uznany za lepszego od innych, bo wszyscy są równi. Owóż, ponieważ każdy lubi się uważać za doskonałość i lubi słyszeć o niej świadectwo, skutkiem tego w tej demokracji, pochlebcy i demagogowie są słuchani i szanowani.

„A ponieważ władza najwyższa należy do całego ludu, ten rządzi jak monarcha i z konieczności dochodzi do despotyzmu. Dlatego przyjmuje i szanuje tych, co mu schlebiają, bo jest to zwyczaj wszystkich tyranów.

„Owóż, lud który tak rządzi, jest tem pośród republik, czem tyrania pośród monarchii. Jest to ta sama metoda i ten sam sposób postępowania w obu wypadkach: mianowicie ucisk lepszych przez gorszych; dobrzy są rządzeni despotycznie, bo rządy sprawowane są nad nimi gwałtem, a nie dla ich dobra.

„To demagogowie, którzy dekrety ludu stawiają na miejsce rządów prawa.

„Demogogowie mówią, że masy muszą być panami swego losu, i sądzić dzieło urzędników, gdyż wszystko powinno pochodzić od ludu i lepiej, żeby społeczeństwo rządzone było przez całość, niż przez część społeczeństwa.

„Lud, mówi św. Tomasz, chętnie słucha podobnej doktryny, bo niema człowieka, któryby z łatwością nie przyjmował tego, do czego czuje pociąg, jak nałogowiec do nałogu“.

Widzimy, że choroba jest stara, i dyagnozę według powyższych znamion łatwo postawić. Dodać trzeba, że na nowożytną

jej formę wpłynęła w tak niepohamowany sposób proklamowana przez socjalizm teoria nienawiści. Ona to sprawia, że ludzie ciemi, tą nienawiścią wprowadzeni w obłąd podejrzliwości bez granic, tracą wszelką miarę rozumu i bezrozumu, dobra i zła i temsamem robią się zupełnie nieprzystępni dla jakiegokolwiek rozumnego rozważania, dla jakiegobądź programu realnego, a słuchają tylko pochlebców, którzy bez programu powołują ich do sprawowania swoich praw.

Dziś widzą wszyscy, że jest to stan patologiczny społeczeństwa. Ale nie wszyscy widzą, jak bezpośrednio się on wyrodził z zasad bezwzględnej demokracji i socjalizmu. Dlatego warto zastanowić się nad przytoczonymi powyżej rozważaniami starych mędrców.

U nas zachodzi w tym względzie wielka różnica między ludem miejskim i wiejskim.

Lud miejski do nałogów chorobotwórczych socjalizmu nakłaniany od lat, w znacznym stopniu się z nimi otrząsał. W dodatku, przywódcy jego niewątpliwie rozumieją, — wielu z nich już zrozumiało — naukę, płynącą z doświadczenia rosyjskiego. Może unikną tej samej kolei.

Lud wiejski u nas był od wielu lat męczony przez demagogów, ale zachowywał się względem nich dotąd opornie. Zwyciężał w nim zdrowy sens. Dość przypomnieć rozbięcie stronnictwa ludowego w Galicyi i powstanie nowych jego formacji z posłem Witosem i Zamorskim. W Królestwie trzeba wskazać na nierównie większą popularność kółek roln. C. T. R. od Staszycowskich, które wszak dużo bardziej demagogicznymi operowały hasłami.

Ale czy lud wiejski zachowa swoje zdrowie moralne? Czy wytrzyma piekielną pokusę demagogii, jak przyjdzie wielka fala nowych praw politycznych przy organizacyi nowożytnego państwa? Czy nie wypadnie i jemu przejść przez tę straszną chorobę, która odsunęłaby na dziesięciolecia sprawę wolności, sprawę niepodległości i sprawę rozkwitu Ojczyzny?

Zależy to, oczywiście, w pierwszej linii od tych, co do ludu pójdą, od przywódców.

Fachowych demagogów nikt nie powstrzyma. Wiemy, że tacy są. Nic nie pomoże krytyka i potępienie opinii publicznej, bo to są ludzie bez sumienia.

Ale i ci, co z uczciwemi zamiarami idą do ludu, powinni strzedz się wszelkiego cienia schlebiana tłumom. Jest to igranie z ogniem. Bo wszystkie masy są podatne do tego, by popaść w niewolę swoich a burzycielskich instynktów. Pod tym względem wielki błąd popełniają ci, którzy tworzą „partye ludowe“. Program polityczny powinien odpowiadać na pytanie, co robić należy, jaką politykę prowadzić, jakie reformy przeprowadzić, a nie jaka klasa czy warstwa społeczeństwa ma rządzić. Rządzić powinni i faktycznie rządzą zawsze wybrani, a nie klasy społeczne. A wybierać należy tych, którzy doradzają mądrą politykę, a nie tych, którzy napraszają się, by reprezentować jakąś klasę. Tę prostą i oczywistą prawdę trzeba by raz oczyścić z naleciałości przestarzałych i dawno przez najjaskrawsze fakty obalonych teorii. Ci, napraszający się przedstawiciele ludu doczekają się kiedyś strasznej zemsty, kiedy lud zrozumie jak zbrodniczo był przez nich oszukiwany.

Bo ludu jego wielka rola w życiu Ojczyzny ominąć nie może. I nie dlatego jest ona wielka, że lud będzie miał prawa, które wskutek jego wielkiej liczebności będą mogły być przeważające w Ojczyźnie. Nigdy jeszcze liczba nie dokonała wielkich rzeczy, ale dla tego, po pierwsze, że jako warstwa ludzi ubogich i prostych wniesie bardziej bezinteresowny stosunek do Ojczyzny w polityce, a powtóre, bo jako warstwa młoda, nie przepojona rozkładowemi czynnikami okresów racjonalizmu i pozytywizmu wniesie bardziej instynktowne, bardziej przyrodzone poczucie zbiorowe życia Ojczyzny i jej szczęścia, a po trzecie, bo jako warstwa dorabiająca się wniesie większy rozpęd, większą energię rozwojową w życie Narodu.

Ale warunkiem, bez którego wszystkie te nadzieje ziścić się nie mogą jest oświata. Oświata, oświata i jeszcze raz oświata. Właśnie dlatego, że ginąc z hipertrofii rozumu wiek nasz będzie musiał budować na instynktach, potrzebna jest ludowi oświata, by z głębin świadomości i podświadomości wydobyć instynkty szlachetne i twórcze, a nie stać się pastwą pierwotnych, niszczących instynktów mas.

Potrzebna jest oświata moralna, któraby dała poznać ludowi niebezpieczeństwa, tkwiące w jego własnem łonie, a któraby odkryła i uświadomiła prostemu człowiekowi ogromną cenę moralną jego pracy i obowiązkowości, tej tajemnicy, dla której biednemu

łatwiej wnijsć do Królestwa Niebieskiego. Haniebną byłaby taka oświata, któraby ten skarb zniszczyła i zresztą dalaby mu tylko zawód, a nie szczęście. Lud wiejski nie jest narażony na tę demoralizującą walkę, która stała się jakby obowiązkiem klasy robotniczej, walkę o mniej pracy a więcej pieniędzy. Lud wiejski wszystkie „interesy“ swoje może zamknąć w organicznym, szeroko pojętem dążeniu do „lepszego gospodarstwa“, która jest w pierwszej linii interesem Ojczyzny. Niechże żywi się tem budującym poczuciem, że pracuje dla dobra Ojczyzny, a nie śpieszy się do „oświeconego“ pojmowania swoich własnych korzyści tylko przez tak reklamowane przez agitatorów uświadomienie klasowe. — W zmyśle moralnym gospodarza rolnego jest nieoceniony dla Narodu skarb: właśnie ta oczywista nieodłączność własnej korzyści z dobrem Ojczyzny pozwala w wychowaniu moralnem młodego pokolenia kłaść *cały nacisk* na *obowiązki*, nie zaś na *prawa* narodowe. Moralnej wartości tego czynnika nikt nie może podawać w wątpliwość.

Prawdziwa miłość Ojczyzny jest w dziedzinie instynktów. Ale żeby ją uświadomić i zamienić w żywą siłę, trzeba ją oświecić poznaniem rzeczy Ojczystych, ziemi, dziejów, liczb i stosunków. Dlatego potrzebna jest oświata narodowa. I jeśli z takim zaufaniem patrzymy w przyszłość ludu, to dlatego, że dziesięciolecia pracy nad oświatą narodową ludu wykazały nam, jak z tego żyznego gruntu bujnie wyrastają przepiękne rośliny. Włościanin i robotnik polski ma przyrodzone pojęcie dobra Ojczyzny. Dowiódł tego w ciągu tej wojny w kilku uderzających swoją jaskrawością wypadkach. I tylko żalować można, — powiem więcej — rozpacz chwyta na widok, jak te zdrowe a potężne instynkty ludu polskiego nie znalazły należytego oddźwięku i realizacyi w polityce wyłonionych z wyższych warstw naszego narodu przedstawicieli.

Lud polski pojął wszystkie wielkie zadania naszego narodu w jego najbardziej przelomowej chwili i to pojął w sposób piękny, jasny, niedwuznaczny, i z tego pojęcia wysnuł odrazu najtrafniejsze porywy do decyzji i czynu.

W pamięci Narodu powinno zawsze pozostać, że Uchwały Majowe Krakowskiego Koła Sejmowego są dziełem ludu polskiego. Nie dlatego, że były powzięte na wniosek posła ludowego. Ale że ten poseł do ich powzięcia był popchnięty przez zachowanie się ludu na licznych zgromadzeniach, które poprzedziły zebranie Koła

Sejmowego. Politycy byli wówczas jakby w orbicie wielkiej fali woli ludowej, która opanowała atmosferę kraju. Jednomyślność tej uchwały była tylko wynikiem tego faktu, bo jak się okazało później, bynajmniej nie odpowiadała zamiarom znacznej części, kto wie, czy nie większości posłów. Był to nakaz ludu.

Lud polski od początku wojny pojął do gruntu, do dna swego instynktu jedną ideę: Zjednoczenie Polski. To samo wywołało entuzjazm legionów, które nie zdawały sobie jasno sprawy ze sprzeczności tej inicjatywy z możliwością przyłączenia Poznańskiego, ale szły przyłączać Królestwo, i to z wiarą i wolą nieugiętą, proroczą. I dziś nie mamy niemal wątpliwości, że to przecucie spełnić się musi, w najgorszym nawet wypadku. Lud w Królestwie szedł do mobilizacji z jakąś instynktowną gotowością, z zapalem, którego podkład stanowiło również proste, nierozumowane poczucie, że ta ziemia, na którą go wojna popchnąć miała — to ziemia polska, że na niej mieszkają jego bracia, których z przemocą najgroźniejszego wroga Polski wybawić trzeba.

Idea Zjednoczenia w prostej duszy ludu — to przyrodzone poczucie *całości*, to poczucie takie naturalne w gospodarzu, płynące z elementarnego przywiązania do ziemi, ze zmysłu ładu, z tego naturalnego instynktu, który wiąże naród z jego terytoryum. Dla ludzi myślących zawile, robiących politykę, rozmaite trudności i sposy terytoryalne zasłaniają czasem całą prostotę i kategoryczność postulatu Zjednoczenia, jako postulatu *całości*. Dla ludu nie tej kategoryczności nie jest w stanie zachwiać. W nim jest to pozytywna strona tego samego instynktu, który tak potężnie wybuchnął przy oderwaniu Chełmszczyzny przez pokój Brzeski. Niestety, nasze warstwy oświecone dużo bardziej ulegają reakcyi na doznane ciosy niż zapalowi do pozytywnych zdobyczy.

To samo wyszło na jaw z ogromną jaskrawością w sprawie polskiej siły zbrojnej w Rosyi.

Organizacya polskiej siły zbrojnej po Rewolucyi Rosyjskiej była wskazaniem momentu. Odgadnięcie tej myśli miało w sobie coś z geniuszu: wszystkie ówczesne i późniejsze zdarzenia wskazują na to, że powinien to być być ośrodek wszystkich wysiłków narodu. W ten sposób zyskiwało się i moc narodową i ratowało się żołnierza polskiego od zguby, i podnosiło się znaczenie kwestyi polskiej i rolę Polski w tej wojnie. W momencie oblędu demokratycznego wszystko zależało od żołnierza. Żołnierz w lot pojął

i nie minął miesiąc od Rewolucyi, kiedy z nieskończonej ilości uchwał wieców i zebrań widać było, że natychmiastowe podjęcie tej inicjatywy miało zupełnie zapewnione powodzenie. Instynkt Ludu Polskiego znów nie zawiódł. Zamiast tego sprawa utonęła w deliberacyach, gorzko przypominających taniec Chochola z „Wesela“ Wyspiańskiego. Aż przyszedł straszny poranek — rozbrojenie przez Niemców. A gdzie złoty róg — którego głos brzmiał tak donośnie, tak górnie budził nadzieje w Marcu i Kwietniu 1917 roku? Nie „cham“ tu winien, ale ci oficerowie i ci „wojskowi“, którzy ukrywając się bezpiecznie na tyłach, ratując własne bezpieczeństwo, oszukiwali haniebnie lud polski krętalką argumentacją i na hańbę podali imię żołnierza polskiego.

Lecz odwróćmy myśl od tego najsmutniejszego wspomnienia do innego znów przykładu trafnego i jasnego pojmowania zagadnień politycznych przez lud polski, mianowicie, sprawy dostępu do morza.

Warunek dostępu do morza w Uchwałach Krakowskich miał pierwszorzędną znaczenie. Był to warunek, który jasno wskazywał, że lud polski nie chce żadnego ograniczenia w pojmowaniu Zjednoczenia, że uświadamia sobie dziś jasno, że żądanie to zwrócone jest przeciwko Niemcom. Ale mylił się, ktoby myślał, że chłop polski nie rozumie znaczenia dostępu do morza. Obyty z emigracją, i świadomie korzystający z amerykańskich narzędzi rolniczych, zdaje sobie chłop polski sprawę i z ekonomicznego znaczenia portu morskiego. Ale znów góruje tu proste, instynktowne poczucie. Pewien chłop powiedział mi po prostu: Kraj bez morza, to jak izba bez okna. Jest to najtrafniejsze, najbogatsze określenie postulatu dostępu do morza, użyte zresztą przed dwoma wiekami przez Piotra Wielkiego, cesarza Rosyi, który Petersburg nazywał oknem do Europy. Ale mój chłop wszak nie z tego źródła zaczerpnął swoje porównanie, tylko wykazał, że chłopski rozum trafia czasem na koncepcye ludzi genialnych. Przy tak prostej, a tak trafnej koncepcyi trudno dać sobie wmówić rozmaite wykrętne argumenty za neutralizacją Wisły, porto - franco i t. p. Równie dobrze możnaby kazać chłopu okno w izbie zastąpić korytarzem przy cudzem mieszkaniu. Nie, izba bez okna będzie izbą bez okna: niechżeby nasi politycy, którzy tak łatwo się bez Gdańska obywają, choć jasno zdali sobie z tego sprawę, że budować chcą izbę bez okna. Jak nie można mieszkać w widnej, to trze-

ba się i norą zadowolnić, ale trzeba to wiedzieć, i nie wychwalać dla użytku tłumów ciemnych wspaniałej perspektywy naszego budownictwa państwowego, kiedy rezultatem jego ma być to, co chłop rozumie jako izbę bez okna. Jakaż w tem się wyraża olbrzymia przewaga tej chłopskiej głowy nad „mądrą“ głową „wielkiego“ polityka!

Dochodziły do nas wiadomości z Królestwa, że po aktach listopadowych odbywały się liczne zebrania chłopskie, na których chłopci domagali się króla, ale koniecznie z polskiej rodziny. I tu znów przemówił instynkt mocniejszy od subtelnych argumentacji politycznych. Zostawiając tymczasem zupełnie na boku pytanie, czy lepsza jest monarchia, czy republika, trzeba przyznać, że to kategoryczne żądanie *polskiej* dynastji trafia w sedno rzeczy. I gdyby stosunek wszystkich warstw polskich do tej sprawy był równie bezinteresowny, jak stosunek tych chłopów, którzy przecie nie myśleli o królu ze swojej warstwy — to ta myśl miałaby napewno olbrzymią większość narodu za sobą. — Gdybyż Naród Polski zrzucił za słowami wieszczki „tę Dejaniry palącą koszulę“ — osobistych ambicy i błahych sporów swoich synów, gdybyż w całej nagości swojej posągowej stanął w ich umysłach i wniknął do ich serc i natechnął je czystym zamiarem: czyż w Polsce nie znalazłby się człowiek, godny, by go Naród powołał na króla? Człowiek czysty i w zgodzie z Bogiem żyjący, człowiek nieugięty a łagodny, człowiek dość mądry, o naturze sprawiedliwej i trafnej, — i człowiek, posiadający rodzinę na wysokim poziomie moralnym, by zabezpieczyć w razie dziedziczności tronu chociaż i następne panowanie: te zasadnicze kwalifikacye nie są w istocie pospolite, ale nie można powiedzieć, by nie udało się ich znaleźć. Tylko, żeby z góry wszyscy nasi arystokraci, którzy szalu by dostali z emulacyi i kielkującej zazdrości, odwołali się do swych uczuć religijnych i uznając niezapomniane błędy swych przodków, posypali głowy popiołem, i w pokorze czekali na kogo wybór narodu padnie, złożywszy przysięgę nie brania udziału w żadnej agitacyi. Wszak ambicje i próżności ich warstwy tu byłyby najbardziej zaangażowane, byłoby zatem prostem wymaganiem słuszności, aby te ambicje i próżności — te prywaty nie wpływały na tak pierwszorzędnej doniosłości akt. Bo dynastja wynikła z intryg magnatów byłaby plagą i nieszczęściem; dynastja, powołana z Woli Narodu *mogłaby* być zbawieniem.

Wola Narodu! to wielkie słowo, tak pełne doniosłości, jakże trudne jest do wypełnienia zrozumiałą i realną treścią!

Jedno jest dla mnie pewne, że to znaczenie, jakie zwykle tym słowom przypisują jest z gruntu fałszywe. Przeszarżane pojęcie prawne i potoczne upraszczanie pojęć chce w słowie *naród* widzieć sumę ludzi, mówiących jednym językiem i zamieszkujących pewne terytorium. Przy takim pojęciu Wola Narodu — wobec różnorodności woli poszczególnych jego członków, jest poprostu wolą większości. Wola Narodu jest w tem pojęciu jakby wyrazem praw obywateli do robienia z Narodem, co im się podoba, t. j. do rządzenia Narodem według własnych, swobodnie choćby z widzimi się wysnutych upodobań. I znów to przystępowanie do Narodu z arsenałem „praw obywatelskich“ kryje w sobie fałsz i zgubę.

W istocie przecie wybory i głosowania nie wyrażają woli większości obywateli, bo tylko znaczna mniejszość w wyborach bierze udział. Decyzje Narodu bywają powinane tylko przez wybranych, a nie przez obywateli. Jest więc cały ten aparat tylko z góry ułożoną umową, że oto przeprowadzimy tyle i tyle operacyi (ogłoszenie wyborów, rozesłanie kartek, wybory, stawianie wniosków w sejmie, opracowanie ich w komisjach, trzykrotne czytanie, ew. potwierdzenie przez drugą izbę), z których, po należytem spreparowaniu, wynikną pewne zadrukowane lub na maszynie napisane opinie: te nazwiemy wolą Narodu. Jeśli dodać do tego całą akcyę wyborezą, ten fakt, że dany poseł nie dlatego w większości wypadków jest wybrany, że pewna ilość obywateli jego pragnie, ale, że zapłacił wyborcom, albo, że przeforsował go rząd, który wpłynął na wyborców groźbami, albo, że znalazł się na liście wyborczej jakiejś partyi, to dojdziemy do przekonania, że prawomocnie wyrażona wola narodu nie ma *nie wspólnego* z wolą większości obywateli, jest wynikiem jakiegoś przypadku. Jest to gra w hazard, przyjęta przez ludzi, jakby z rozpaczny wobec niemożności odgadnięcia istotnej Woli Narodu.

Bo Wola Narodu jest jednak siłą realną, jest rzeczywiście jakąś Opatrznościową, wskazaną drogą rozwoju tego wielkiego jestestwa, które narodziło się przed dziewięciu wiekami i żyje i rozwija się dłużej niż wszyscy obywatele, dobijający się swoich praw. Tylko ci obywatele, dobijający się swoich praw niezawsze potrafią odgadnąć ową Opatrznościową drogę, odczuć w głębi sumienia rozkazy Woli Narodu, wobec której więcejby myśleli i mówili

o obowiązkach niż o prawach. I dlatego, że coraz gorzej ludzie zaczęli umieć odgadywać tę Wolę Narodu, zaczęli też coraz więcej myśleć o swoich prawach; im więcej myśleli o swoich prawach, a nie o obowiązkach, tem gorętsze spory między nimi o te prawa wynikały i tem zawilsze systemy i umowy stały się potrzebne dla rozstrzygnięcia tych sporów. I z zupełną oczywistością widać, że im dalej pójdą spory o prawa, tem zawilszy stanie się system, i tem dalej odejdzie od rzeczywistej Woli Narodu. Tylko przesunięcie Ojczyzny w duszach ludzkich z dziedziny praw do dziedziny obowiązków zmieni ten fatalny proces rozkładu. Bo obowiązki łączą a prawa dzielą ludzi.

A jednak wszystkie nadzieje nasze przywiązujemy do obdarzenia *ludu* pełnemi prawami politycznemi. Może więcej pragniemy je dać, niż lud się o nie dobija. Ale to właśnie jest zdrowe.— Bo nie dlatego oczekujemy od ludu wyrazu prawdziwej Woli Narodu, że „wola ludu“ to Wola Narodu, bo lud przedstawia większość. Kolosalna większość narodu rosyjskiego przedstawia ciemną masę, której wola nie jest w stanie wyrazić się inaczej, jak w chaosie anarchii.

Ale polski lud wiejski ma z przyrodzenia szczególne kwalifikacye do tego, by odegrać pierwszorzędną dobroczynną rolę w politycznym życiu. Nie jest to klasa społeczna w zwykłym znaczeniu tego słowa. Nie należy do proletaryatu, bo ma posiadłość, nie należy i do burżuazji. Nazwa „drobnej burżuazji“, jaką lubią chrzczyć lud wiejski bezmyślni doktrynerzy w Rosyi, jest niedorzeczna, boć rzeczywista drobna burżuazya — sklepikarze i rzemieślnicy po miastach, mają dużo więcej pokrewieństwa jako typy z zamożniejszym proletaryatem, niż z włościanstwem. Już Marx miał sporo kłopotu ze znalezieniem stosownej rubryki dla chłopów w swoim systemie klasowym: ten kłopot się nie zmniejszył. — Bo chłop w istocie jest poza klasami, i niema takiej warstwy społecznej, z którąby jego interesy wchodziły w wyraźną sprzeczność. W dodatku jest właścicielem *ziemi*, większości terytorjum narodowego; z tej ziemi wyrósł, i jest z nią tak związany, jak żadna inna warstwa. To rodzi w jego duszy cały świat instynktów zbiorowych, które spią w cieniu jego ciemnoty i nieświadomości. Ale oświata je obudzi i zrodzi w nim zrozumienie zagadnień ogólnonarodowych, dużo bardziej bezpośrednio niż u warstw innych; bo jako główny właściciel ziemi, doszedłszy do

świadomości zbiorowego bytu, zechce też być jej gospodarzem. Wogóle skutek rozwoju industrializmu rola ludu wiejskiego w Europie całej została w polityce zepchnięta do poziomu nie odpowiadającego ani jego liczebności, ani jego stanowisku, jako właściciela ziemi, ani pierwszorzędnym przymiotem. Ale we Francji np. już 20 lat temu Mèline przewidział zmianę zasadniczą w tym względzie. I z pewnością wpływy ludu wiejskiego wzrosną wszędzie.

Tembardziej w Polsce możemy budować wielkie nadzieje na ludzie wiejskim.

Spodziewamy się znaleźć w nim bezinteresowną miłość Ojczyzny, prostsze pojęcia polityczne, więcej instynktu niż spekulacyi, bardziej zdecydowaną wolę zbiorową i przez to nieskończenie większą zdolność odgadnięcia Opatrznościowej drogi i usłyszenia prawdziwej Woli Narodu. Bo tylko ci wierni synowie Ojczyzny, którzy zgadują Wolę Narodu, którzy z pokorą i posłuszeństwem, ze czcią i poświęceniem przystępują do spraw narodowych — tylko ci urzeczywistniają swoim życiem *życie* narodu i tylko ci mają uzasadnione prawo o niem stanowić. Inni życiem swoim urzeczywistniają *śmierć* Narodu, i choćby byli w większości, nie można twierdzić, by spełniali jego wolę. Takiego stosunku do Narodu możemy oczekiwać w Polsce.

Pierwszy okres swobodnego rozwoju politycznego Polski wypadnie w dobrym momencie. Zwycięstwo ostateczne zasad demokratycznych, które stanowi jakby historyczną konieczność, do którego nawet w czasie wojny wielkimi krokami zbliżają się wszystkie narody świata, zastanie Polskę w chwili, kiedy cały Naród będzie zaabsorbowany wielkimi zadaniami zmartwychwstania państwowego, zadaniami, które wydobywają same z głębin świadomości ludzkiej jaknajsilniejsze instynkty zbiorowego bytu. Lud polski pokazał, że właśnie do zrozumienia tych wielkich zagadnień dzisiejszego momentu jest niezwykle podatny. Możemy mieć wiarę, że przewagi swojej liczebnej nie użyje wbrew interesom Narodu, że potrafi wybrać swoich przedstawicieli właśnie pod kątem widzenia tych wielkich zadań. Dlatego zgubnem byłoby chcieć jakiemś zawilemi zastrzeżeniami ograniczać prawa wyborcze ludu; doprowadziłoby to do sporów wewnętrznych, które byłyby katastrofą w momencie rozstrzygnięcia wielkich, zasadniczych zadań bytu narodowego.

Polska, jako państwo przestała istnieć przed tym okresem kultury politycznej, który prawa obywatelskie dał całemu ludowi. Zatem, zmartwychpowstając, Ojczyzna nasza pierwszy raz otworzy podwoje swej świątyni ludowi swojemu: nikt w Polsce nie wątpi, że ta uroczystość będzie wielkim świętem narodowego życia, od którego dobre dni się powinny zacząć. Lud wstąpi do niej ze czcią, należną świątyni, a nie z pożądliwością z jaką idą kupcy na targowisko — jak w innych narodach. Jeśli potrafi zachować się tam z tą samą czcią, z tem samem zamilowaniem obyczaju i poczuciem obowiązku, jakie okazywać zwykł w świątyni, będzie mu po wsze czasy Ojczyzna matką, a nie macochą.

VII.

REFORMA SPOŁECZNA.

Ostry stan kwestyi społecznej w czasach nowożytnych ciągnie się bez przerwy od pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Stan ten chwilami się zaostrzał. Chociaż położenie robotników stopniowo się poprawiało, zarówno pod względem materialnego wynagrodzenia, jak opieki prawnej, chociaż kryzysy na rynku pracy stały się może mniej dotkliwe, to jednak do końca epoki przedwojennej, kwestya społeczna była węzłem gordyjskim, przed którym stawali uczeni i reformatorzy bez jasnej decyzji co do rozwiązania. Przeciwnie, czuło się, że kryjące się w tych sprawach wielkie niebezpieczeństwo, nie maleje a rośnie. Pozostało jakby w ludzkości wielkie pytanie, rzucone gdzieś w początkach wieku dziewiętnastego czy w końcu osiemnastego, społeczeństwa stanęły przed niem zakłopotane, szukały paljatywów, przeciągały kwestyę, lecz odpowiedzi nie znalazły. I oto fala tego pytania toczy się, rośnie jak lawina, grozi burzą i niszczeniem, jeśli nie znajdzie potężnego oparcia, o które się zatrzyma. Zatrzymała ją wprawdzie wojna. Ale w Rosyi, gdzie wojna się skończyła, lawina potoczyła się dalej, jak po stromej pochyłości i pokazała całą burzycielską swoją grozę.

Na Rosyi najlepiej widzimy, że pod grozą śmierci społeczeństwa, nie wolno mu dłużej pozostawić lawiny kwestyi społecznej

jej własnemu biegowi, pozostawić wielkiego pytania dziewiętnastego wieku bez ostatecznej odpowiedzi. Inaczej musi nastąpić śmierć społeczeństwa, jak nastąpiła w Rosyi.

Cheąc znaleźć ratunek, trzeba prawdzie spojrzeć prosto w oczy i odrazu dotknąć sedna sprawy.

Kryje się ono w owych czasach, kiedy współczesna kwestya społeczna powstała. Przypomnijmy sobie, że powstała ona na tle rozbijałego indywidualizmu ekonomicznego i że odrazu, kiedy istota jej stała się jasna, reformy szukano w ośtrem przeciwstawieniu temu indywidualizmowi zaniedbanych a tak potężnych pierwiastków natury ludzkiej — jego instynktów zbiorowych. W tem zresztą sens nazwy *socjalizm*.

Marx wprost lekcewał indywidualną świadomość, jako źródło wiedzy filozoficznej, twierdząc, że tylko byt *społeczny* człowieka jest prawdziwy i że cała jego świadomość indywidualna jest odbiciem jego bytu społecznego. Utopiści marzyli o takim ustroju, w którym zapanuje niepodzielnie uczucie solidarności i człowiek wyzbędzie się zupełnie życia indywidualnego.

Ale czemuż chybiły wszystkie te teorye? Dlaczego socjalizm nie zdołał zawojować ludzkości — i nie nie zrobił dla rozwiązania kwestyi społecznej, tylko ją zaostrzył? Gdzie szukać tych nowych pierwiastków bytu społecznego, które jednocześnie okażą się twórcze, i będą zrozumiałym dla szerokich mas szlakiem do poprawy ich losu, podniesienia ich samopoczucia, zwiększenia wartości ich życia?

Socjalizm, szukając zrozumiałej podstawy dla budowy społecznego bytu człowieka, w teoryach swoich i w agitacji uchwycił się takich pierwiastków i pojęć, które uczyniły go zupełnie obcym kryjącym się w duszy ludzkiej społecznym instynktom. Te podstawy to materializm i walka klas. Socjalizm apelował do egoizmu i do świadomości *interesów*. Im więcej człowiek, idąc za myślą socjalistyczną, stara się rozwinąć w sobie tę *świadomość interesów*, tembardziej zatracą *instynkt społeczny*. Rozumowy stosunek do społeczeństwa, każe szukać w niem *korzyści* materialnych. Tylko *instynktowy* stosunek do społeczeństwa budzi chęć ofiary i życia życiem społeczeństwa. Czysto rozumowy stosunek do celów życia wogóle musi prowadzić do upatrywania ich wyłącznie we własnym dobrobycie, bo taka jest rola rozumu. Bez wiary,

bez porywu, bez instynktu wreszcie nie może być ofiary, a bez ofiary indywidualnej nie do pomyslenia jest zbiorowość.

Otóż to zestawienie racjonalistycznego pojmowania społeczeństwa, materjalizmu i opierania się na świadomości *interesów* sprawiło, że socjalizm rozminął się z zadaniem dania ludziom podstaw społecznego bytu. Jedyna zbiorowość, której przypisywał realne znaczenie — to *klasa*, związana świadomością materjalnych interesów.

Może nie da się odmówić świadomości klasowej charakteru pewnego instynktu grupowego. Ale są różne instynkty grupowe. Tworzą się one w każdym zgrupowaniu ludzkim i krzyżują się wzajemnie. Cały problemat polega na wybraniu i rozwinięciu tych, które mają w sobie zadatki twórczości.

Oczywistem jest, że twórczą może być tylko zbiorowość taka, która ma postać jestestwa żyjącego, z duszą i z ciałem, mająca zadatki rozwoju i przez te wszystkie znamiona zdolna obudzić w duszy ludzkiej żywsze tętno: miłości, szczęścia — i gotowości do ofiar.

Nie potrzeba dowodzić, że klasa podobnych znamion, jako zbiorowość nie posiada. Wogóle w zakresie ugrupowań ludzkich, które budzą *świadomość zbiorową*, trzeba odróżnić ugrupowania mechaniczne i organizczne. W pierwszych świadomość zbiorowa jest płodem rozumowania, które jakby drogą wzajemnej zgody prowadzi do wytworzenia się jakiegoś rodzaju *esprit de corps*, w drugich jest instynktowna, mocniejsza u ludzi pierwotnych, często narażona na rozkład i osłabienie przez intelektualizm, przez racjonalistyczny stosunek szczególnie do celów życia.

Otóż ugrupowania mechaniczne bardzo słabo łączą między sobą ludzi, bo węzeł, łączący w nich nie sięga poza ten sam interes materjalny, który zawsze jest zdolny ich rozproszyć. W dodatku te ugrupowania z konieczności przeciwstawiają się innym ugrupowaniom i wytwarzają wrogie stosunki, i rozbijają społeczeństwo. Wiedzeni materjalizmem i racjonalizmem swej epoki, nie byli zdolni reformatorzy socjalistyczni znaleźć drzemiących w duszach ludzkich instynktów społecznych i czując, jako reformatorzy społeczeństwa, ich doniosłość i niezbędność, starali się *świadomości interesów* klasowych nadać jaknajwięcej charakteru instynktowego. To ich doprowadziło prostą drogą do wywoływania i forsowania instynktów złych — masowej zawiści i nienawiści. —

Bo świadomość interesów jest, oczywiście, plodem rozumowania, a nie instynktem. Temsamem socyalizm stał się najsilniejszym czynnikiem rozkładu instynktów społecznych, jaki kiedykolwiek istniał.

Nauczona tem doświadczeniem ludzkość będzie musiała szukać reformy społecznej w zbiorowościach organicznych, bo nie można reformować społeczeństwa niszczeniem instynktów społecznych, tylko przeciwnie, rozwijając je, uszlachetniając i wskazując im drogę do realizacyi i rozkwitu. Wielki problemat, który stanie przed myślą ludzką, to właśnie jak związać staranie o rozwój zbiorowości organicznych, w pierwszej linii narodu, ze sprawą reformy społecznej, w ścisłem znaczeniu przywiązanem do tego wyrazu. Trzeba wglebić się w istotę kwestyi społecznej tak, jak ją rozumiemy ci, co od niej cierpią, i znaleźć w ich instynktach zbiorowych rozwiązanie dla wszystkich zrozumiałe i skuteczne. Naukowe badanie tego zadania nie powinno być oparte na filozoficznej spekulacyi, tylko na gromadzeniu faktów, — faktów materyalnych i faktów psychologicznych i na wysnuwaniu z nich drogą indukcyi tych rozwiązań, które życie i doświadczenie wskazywać będzie jako skuteczne i dobroczynne. Tylko ta metoda powinna być stosowana do badań społecznych, metoda ta sama, jaką zastosowano do badania przyrody. Spekulacya filozoficzna w dziedzinie życia społecznego i ekonomicznego przyniosła nieobliczalne szkody ludzkości, bo wysnute z niej teorye zupełnie zabiły bezstronność sądu i spowodowały groźną atrofię bezpośredniego odczucia i zrozumienia faktów życiowych.

Nie chcąc wpadać w ten sam nałóg, a nie mogąc w tej małej rozprawie dać nawet pozorów naukowego traktowania przedmiotu, postaram się jednak, pod parciem naglącej konieczności, odgadnąć główne rysy tego rozwiązania, które nasuwa otwarty i bezstronny stosunek do własnych doświadczeń i obserwacyi.

Kwestya społeczna ma swoją stronę materyalną i stronę moralną. Pierwsza dotyczy dobrobytu szerokich mas niższych warstw społeczeństwa, druga — godności stosunków między ludźmi.

Owóz — najwyższą, powszechnie dostępną zbiorowość organiczną człowieka stanowi jego Ojczyzna. Niestety, w swem zwykłym życiu człowiek z tą naczelną zbiorowością *świadomie* styka się rzadko: widomym znakiem jej jest dla niego państwo, które przez swoje prawa reguluje jego postępowanie. Dobrą organiza-

eya państwa polega na tem, by jaknajmniej krępować człowieka i ostatecznie lojalny obywatel może przeważnie ograniczyć swoje stosunki z państwem do opłaty podatków, służby w wojsku i wyborów do ciał publicznych.

Te czynności zaledwie małą część jego życia absorbują, a cała reszta przybiera dla niego postać indywidualnego życia i indywidualnych starań i dążeń. — Szczególnie życie ekonomiczne — jest dla niego indywidualną pracą na chleb. Wprowadzenie czynnika świadomości narodowej do tej pracy — czyli — jak się wyraziliśmy w początku: pogodzenie sprawy chleba i sprawy ojczyzny — w tem leży sedno materialnej strony kwestyi społecznej.

Nie trzeba dowodzić, że materialny dobrobyt Ojczyzny musi doprowadzić do dobrobytu jej warstw pracujących. Zadanie wielkiej polityki — zabezpieczenie ojczyźnie warunków rozwoju ekonomicznego — węzła, dostępu do morza, surowców i rynków zbytu, dając narodowi wielki skarb moralny, jakim jest niezależność od silniejszych sąsiadów i przez to zachowanie mu jego *godności*, jednocześnie zapewnia warunki taniej produkcji, temsamem pracę i wyższe zarobki dla warstw pracujących.

Ale prócz tego wydaje się rzeczą niewątpliwą, że szukanie dobra Narodu przez każdego pojedynczego obywatela lub przez zorganizowane dla celów gospodarczych grupy, wniosłoby nieskończoną ilość niespodzianych reform do życia ekonomicznego, które w całości stanowiłyby potężny prąd reformy społecznej.

Przedewszystkiem trzeba stwierdzić, że Naród stanowi jakby ujście dla wszystkich *organicznych* dążeń społeczeństwa i jakby naturalną całość wszystkich organicznych zbiorowości. I dążeniem człowieka powinno być tworzenie w każdej pracy — w każdym przejawie życia organicznych zbiorowości, które postacią i biegiem swego działania stanowiłyby mikrokosmos ojczyzny. Musi w nich być dusza i ciało, musi być życie i ciągłość; musi być budowa organiczna, z rozumnym układem funkeyi i kierunku, musi być rozwój — więc rozrost ciała i rozrost duszy do większej siły i większej świadomości, większej intensywności odczuwania; wreszcie musi być to, co stanowi właściwie ośrodek duszy każdej zbiorowości — musi być idea. Organiczną zbiorowością powinna być rodzina; organiczną zbiorowością powinna być zagroda, wieś, miasto, organiczną zbiorowością powinno być każde *gospodarstwo*. A z gospodarstw w ostateczności składa się całe życie ekonomicz-

ne. Każda z tych zbiorowości powinna dążyć do znalezienia i zrozumienia swej roli, swego miejsca w Ojczyźnie. Ta myśl o Ojczyźnie nada życiu rodziny, zagrody, wsi, miasta organiczność rozwoju, a to w życiu całego narodu wytworzy harmonijny proces narodowego rozwoju, prowadzącego do rozkwitu i szczęścia.

Gdyby człowiek w każdej czynności swojej szukał dobra Ojczyzny, — nie tylko drogą ścisłego rozumowania, ale przez proste pielęgnowanie w świadomości jaskrawego obrazu jej rozwojowego życia, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ten proces psychologiczny prowadziłby do znajdowania rozwiązania nasuwających się kwestyi i problemów, zarówno społecznych, jak ekonomicznych, prowadziłby do łagodzenia antagonizmów i zagładzania różnic, do stopniowego zaniku zawiści i krzywdy. Robotnik pojąłby, że hasło 8-godzinnego dnia roboczego musi być dopełnione produktywnością pracy i dążeniem do podniesienia poziomu i kultury spoczynku; że nie wystarczy świadomość interesów, a potrzebna jest świadomość obowiązków i ideałów narodowych; że sprawa poprawy bytu nie może być ograniczona do żądania: mało pracy — dużo pieniędzy. Przeciwnie, istota dążeń robotniczych powinna dotyczyć *warunków bytu*: dobrych mieszkań, zdrowego i pięknego otoczenia, dobrej organizacji przedsiębiorstwa, dobrego wychowania i wykształcenia dzieci, udoskonalenia warunków i metod produkcji. Gdyby ruch robotniczy w imię takich żądań walczył i ogłaszał strajki, nie wywoływałby chłodnej zaciętości, tylko budziłby sumienia kierowników i organizatorów przemysłu zmusiłby ich do *twórczości* kulturalnej, która obecnie jest przypadkową cnotą, niemal kaprysem jednostek.

To samo stanowisko doprowadzi pracodawcę do pojmowania roli swojej, jako wykonawcy wielkiej funkcji organizmu narodowego. Gdyby wychowanie i opinia publiczna takie pojmowanie ustaliła, spekulacja, przesadne zyski, niedbalstwo w organizacji warunków bytu robotników byłoby o wiele rzadsze, i nie byłoby w każdym razie *uznane*. Główna szkoda, którą zrodził liberalizm ekonomiczny, jest ta, że pod jego wpływem egoizm i nieprzebierająca w środkach interesowność uznano za prawo moralne. Na miejsce tego egoizmu i interesowności musi przyjść inny motyw i zyskać prawo obywatelstwa, motyw społeczny, płynący z instynktów — przyrodzonych, nie zaś z samego wyrachowania.

Nie znaczy to, by przedsiębiorcy przestali szukać wysokich

dochodów. Ale wejrząwszy głębiej w psychologię ludzi przedsiębiorczych i twórczych na polu ekonomicznym, trzeba stwierdzić, że wizya wysokich dochodów łączy ich nie jako źródło uciech i użycia, ale jako znamię żywotności i zdrowego rozwoju przedsiębiorstwa, które napewno takich ludzi głębiej przejmuje, niż samo bogactwo osobiste. Psychologii przedsiębiorców nie są zatem obce te pierwiastki zainteresowania swoją rolą, o jakich mówiliśmy wyżej. Pojmując przedsiębiorstwo, jako ośrodek pewnej żywotności i zdrowia społecznego, bliżcy są do ujrzenia w niem organicznej zbiorowości. Od tego jeden krok do zharmonizowania życia tej zbiorowości z życiem narodu.

Każde przedsiębiorstwo jest *gospodarstwem*. Naczelnicy przemysłu wiedzą, czem jest *dobre gospodarstwo*. Wiedzą też oni, że powstają one nie tyle z zastosowania pewnych zasad oderwanych i prawideł, ile ze zdrowego instynktu zabiegliwego i starannego gospodarza.

Dobre gospodarstwo jest wytworem przyrodzonym a nie sztucznym i chcąc je dobrze pojąć i określić, trzeba by drogą systematycznych badań dobrych gospodarstw stwierdzić te prawa, które jak prawa przyrodzone, kierują ich rozwojem i życiem. Badanie takie wykazałoby niewątpliwie, że prawa dobrego gospodarstwa łączą w jedną nierozzerwalną całość i dobro jego pracowników i dobro gospodarza czy właściciela i dobro Narodu. Szczęśliwe gospodarstwo narodowe może być tylko organicznym zespołem dobrych gospodarstw poszczególnych. Liberalizm ekonomiczny zasadę tę może i uchwycił, ale z karygodną jednostronnością za *jedyną* cechę dobrego gospodarstwa uznał jego dochodowość, a za *jedyną* cechę dobrego gospodarza zabiegliwość o wysokie zyski.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dobre gospodarstwo musi stanowić jakby pewien mikrokosmos Ojczyzny, t. j. mieć wszelkie cechy organicznej zbiorowości.

Postarajmy się z tego stanowiska ocenić dla przykładu wielkie przedsiębiorstwo ekonomiczne, i odgadnąć, jakie ono być powinno, by tym wymaganiom odpowiedzieć. Czy to będzie kopalnia, czy fabryka żelazna, czy tkacka — to wszystko jedno.

Przedewszystkiem fabryka powinna dysponować swobodą miejsca. Weśnięta między posesye miejskie, bez swobody ekspansyi nie ma szans zdrowego organicznego rozwoju. Powinna to być osada — gniazdo, którego budowa powinna być wytworem twór-

czości artystycznej. Przy umiejętnem rozmieszczeniu budynków fabrycznych, wysadzając drzewami ulice i przejścia, zadbawszy o estetykę otoczenia, nietrudno wytworzyć gniazdu fabrycznemu fizyonomię pełną wdzięku.

Obok organów administracyi, gniazdo fabryczne musi mieć swoje organy duchowe, a więc kaplicę, park publiczny, z domem ludowym, czy klubem robotniczym; twórczość umysłowa reprezentowana przez daną produkcję, powinna być w dostępny sposób zobrazowana w modelach, statystykach, sprawozdaniach rachunkowych, wzorach, tablicach, fotografiach, rysunkach i wystawiona dla bezpłatnego użytku robotników w specjalnem muzeum. Muzea i zbiory są fotografią zbiorowej pracy umysłowej i są nieodzownym organem pełnej organicznej zbiorowości. Dość przypomnieć, jaką fizyonomię dają zbiory i muzea miastom, w których są rozmieszczone.

Owóż w fabryce muzeum specjalne, dotyczące przedmiotu jej produkcji wogóle i w szczególności funkcjonowania samej fabryki, może olbrzymio oddziaływać na przywiązanie pracowników do swej pracy. W sam stosunek do pracy wnosi się wyższy pierwiastek zainteresowania umysłowego, pewne pojęcia jej ewolucyi technicznej i ekonomicznej, zrozumienie roli w życiu narodem, słowem szlachetniejsze i bezinteresowniejsze pojmowanie swej pracy.

Człowiek z dużo większem zainteresowaniem ogląda rzeczy, na których się zna; drogą tego zainteresowania możnaby wpłynąć przez specjalne odczyty na rozszerzenie horyzontów umysłowych robotnika, na inne dziedziny pracy i twórczości narodowej. Tylko tą drogą można doprowadzić robotników do świadomości ich pracy jako funkcyi organizmu narodowego, do tego szukania i znalezienia *Ojczyzny* w swej pracy na chleb, o którym na początku niniejszego rozdziału mówiliśmy.

Jeszcze rozszerzyłyby tę stronę organizacyi fabrycznej założenie w niej specjalnej szkoły technicznej w przedmiocie produkcji. Ułatwiłoby to kształcenie dzieci robotników w fachu ojca, co połączyłoby po pewnej fazie rozwoju organizację zawodową z pewnemi rodzajami tradycjami takich nestorów danej specjalności, którzy przez parę pokoleń w niej wytrwali. Doprowadziłoby to też do dużo większej stałości zajęcia. A to jest pierwszy warunek podniesienia poziomu bytu robotniczego. Robotnik,

wędrujący od fabryki do fabryki, przy pozorach swej swobody ruchów jest niewolnikiem swego położenia, ma egzystencję bez przyszłości.

„Stalość, wytrwałość — to pierwszy warunek wszelkiej płodności w sprawach ludzkich. Chęć wytrwania, wytrzymania, pomimo przeszkód, rozczarowań i niemożliwości: to co we wszystkich rzeczach różni duszę mocną od słabej, cywilizowanego obywatela od nomady-barbarzyńca, gatunek człowieka od gatunku — małpy“. To są słowa Carlyle'a, zastosowane właśnie do sprawy robotniczej *).

Organiczność zbiorowości stoi w prostym stosunku do organicznego bytu jej części składowych. Dlatego przy organizacji fabryki trzeba najstaranniejszą uwagę poświęcić warunkom rodzinnego życia robotników i oficjalistów fabrycznych. *Rodzinny* pracowników — to są te organiczne jednostki, które stanowią pod względem duchowym części składowe organizmu fabrycznego. Dwa są czynniki, które tu w pierwszej linii wchodzi pod uwagę: szkoła dla dzieci i mieszkania robotnicze. Najstaranniejszy ustrój szkoły, dobór personelu nauczycielskiego, to czynnik, mogący wnieść najwięcej harmonii do środowisk rodzinnych. — Z tego stanowiska tak ważnem jest, by robotnicy byli lokowani nie w koszarach a w oddzielnych domkach z ogródkami. Kultura mieszkań powinna być rozwijana drogą umiejętności wskazówek, konkursów, rozwijających czystość, estetykę i rozumną gospodarność.

Dajemy rysy ogólne. Szczegóły tego dzieła wymagają w każdym wypadku głębokiej pracy myśli i twórczości. Ale czytelnik z tych rysów ogólnych pojmie samą ideę dzieła. Wszak całe niemal życie ekonomiczne narodu składa się z życia poszczególnych gospodarstw: te gospodarstwa powinny zakwitnąć intensywnem, płodnem życiem organizmów społecznych. Błędem jest opieranie organicznego ustroju życia ekonomicznego na samem integrowaniu funkcji takich, jak: przemysł wogóle, rolnictwo wogóle, lub poszczególne działy produkcji i handlu na podstawie zawodowej. Działy produkcji i zawody nie stanowią organizmów, tworzą ugrupowania mechaniczne. Mogą one służyć do pewnych celów praktycznych, ale nie mogą stanowić podstawy ustroju or-

*) Carlyle — Past and Present.

ganizmu narodowego: tę podstawę mogą stanowić tylko gospodarstwa z rozumnym, praktycznym i twórczym *gospodarzem* na czele.

Spotka nas zarzut, że cały ten plan zależy tylko od indywidualności poszczególnych gospodarzy i dlatego nie może znaleźć ogólnego zastosowania.

Przedewszystkiem niema takiej metody i takiej doktryny, któraby mogła znaleźć zastosowanie ogólne. Rozwój nie polega na stosowaniu stałych i niezmiennych ideałów. Różnice warunków są i będą zawsze. To leży w naturze życia i z tem się trzeba pogodzić. W tem leży sens wskazówek religii, która każe nam godzić się z niedolą życia. To znaczy, że nadaremnie oczekivalibyśmy od rozumu ludzkiego znalezienia takiego jakiegoś systemu, który wytworzyłby idealny stan życia na ziemi. Ale rozwój powinien postępować organicznie, właśnie drogą *twórczości* — a rzeczywistość twórczość ma w istocie swojej charakter organiczny a nie mechaniczny. Życie społeczne jest życiem organicznem a nie mechanicznem. I gdyby człowiek tę całą potęgę, jaka płynie z dobrej organizacyi użył nie na urzeczywistnienie surowej walki o więcej pieniędzy i mniej pracy z jednej strony, a mniej wydatków a więcej dochodów z drugiej, z tą jakąś ślepą, nieoględną determinacyą, omijającą wszystkie inne zadania i problemy, a użyłby jej przeciwnie na doskonalenie metod i odnajdowanie praw organicznej ewolucyi *gospodarstw*, doszedłby w tem stopniowo do coraz szerszych zdobyczy; te zdobycze zorganizowanego wysiłku dałyby podłoże, na którem wyrastaliby i doskonaliliby się właśnie ci *dobrzy gospodarze*, bez których jakakolwiek reforma społeczna w życiu ekonomicznem jest nie do pomyślenia.

Słusznie oczekujemy wielkich zdobyczy w reformie społecznej od kooperacyi. Jest to forma organizacyi, dająca nieskończone pole do wytwarzania organicznych zbiorowości. Oparte na dobrej woli i solidarności, usuwające drogą trafnie pomyślanego ustroju antagonizmy wewnętrzne, uniezależnione w znacznym stopniu od konjunktur rynkowych, — instytucye spółdzielcze mogą się stać podłożem do potężnej twórczości w kierunku, o którym powyżej mowa.

Ale nie trzeba popadać w jednostronność: tę twórczość trzeba dopiero powołać, trzeba ją zaszezepić. Same zasady organizacyi spółdzielczej dają dopiero dla niej dogodne warunki. Nie

stanowią też one bynajmniej jedyne podłoże do tej twórczości. Przeciwnie nieraz wysuwano jako słabą stronę kooperacyi, że przez swoje niwelacyjne działanie zabija inicjatywę, — temsamem twórczość indywidualną. Naogół prawdopodobniejsze jest znalezienie *dobrych gospodarzy* na stanowiskach naczelników przemysłu pośród właścicieli przedsiębiorstw niż pośród działaczy kooperacyjnych. To ostatnie jest może dziełem przyszłości. Twórcza praca w przedsiębiorstwie ekonomicznem wymaga niezmiernego przywiązania do swego warsztatu pracy; dobry gospodarz musi patrzeć na gospodarstwo jak na swoje dzieło: ten stosunek nie jest niemożliwy w pracy publicznej, czy w kooperacyi, czy w produkcji państwowej. Ale jest wówczas cnotą wznioślejszą więc i rzadszą.

Kooperacya może stać się czynnikiem, który te cnoty do życia powoła, wytworzy zastęp pracowników, którzy rolę *dobrych gospodarzy* w produkcji krajowej odegrać potrafią. Kooperacya może w tym względzie nawet dać wzór i przykład, ponieważ skupia ludzi ideowych; ale kooperacya, jako taka, nie jest koniecznym warunkiem tej reformy społecznej, która polega na ciągłym szukaniu Ojczyzny w pracy na chleb i na twórczości organicznej w działalności gospodarczej; ta reforma jest szerszą i musi dążyć do objęcia wszystkich dziedzin gospodarczego życia.

Oczywiście, ta reforma, która prowadzi do znacznego podniesienia dobrobytu robotników, z konieczności podniesie koszty produkcji. I można się obawiać, że międzynarodowa konkurencya na nią nie pozwoli.

Na to trzeba odpowiedzieć, że każdy postęp jest walką. I jakiegobądź formy przyjmie reforma społeczna, musi ona doprowadzić do zwiększenia kosztów produkcji. Naród, który w tej reformie pójdzie na czele, oczywiście, musi znaleźć środki tej walki. Reforma, którą przewidujemy, jest w istocie swą reformą zasad administracyi, a raczej zastosowaniem zasad administracyi do idei reformy społecznej. Owóż w zakresie naukowych studyów o zasadach administracyi, specjalnie doniosłe postępy zrobiły metody zwiększenia produktyjności pracy, znane pod popularną dziś nazwą systemu Taylora. Ta dziedzina stanowi naturalne dopełnienie do tej, jaką szkicowaliśmy: zwiększona produktyjność dostarczy środków na te wszystkie inwestycye, które stanowią warunek zdrowej reformy społecznej.

Z drugiej strony warto przypomnieć, że np. Anglja słynęła

z tego, że jej robotnicy mają lepsze warunki bytu niż w innych narodach, a wytwory jej przemysłu, chociaż *droższe* od konkurencyjnych, mają większy pokup *dlatego*, że są angielskie. Zdarzają się takie zjawiska zgoła sprzeczne z banalnymi zasadami ekonomiki. A pokup na wytwory rozwijającego się przemysłu swojego, w momencie wielkiego napięcia aspiracji narodowych i idei reformy społecznej może być forsowany drogą specjalnych organizacji i reklamy. W Ameryce powstała Liga konsumentów, której organy odwiedzają wszystkie fabryki dla stwierdzenia warunków, w jakich żyją i pracują robotnicy. Fabryki, w których panują w tym względzie stosunki pomyślne, dostają prawo stemplowania swoich towarów stemplem Ligi, stwierdzającym zadawalniający stan warunków życia robotników. Członkowie Ligi zobowiązują się, o ile możliwości, kupować wyłącznie towary, opatrzone jej stemplem. Jest to pewien system reklamy, który możnaby znacznie rozszerzyć. Liga mogłaby pewne przedsiębiorstwa reklamować specjalnymi opisami wzorowej organizacji. Tego rodzaju opisy podniosłyby ogromnie w oczach publiczności pojęcie *solidności* firmy opisanej; a wiadomo jak chętnie publiczność kupuje towar solidnych firm. Byłoby to więc reklamą dla kupujących — o tyle więcej budzącą zaufania od zwykłej reklamy, że pochodziłaby nie od interesowanego, a od Ligi; jednocześnie byłoby wzorem dla konkurencji.

Brzmi to jak fantazya. Jednak, by ta fantazya stała się ciałem trzeba tylko jednej rzeczy: by człowiek w każdej czynności ekonomicznej, nawet w *kupnie* — szukał Ojczyzny. Ponieważ nie można wątpić w siłę i powszechność miłości ojczyzny w Polsce, ponieważ wojna wogóle ogromnie podniosła poziom i powszechność miłości ojczyzny we wszystkich narodach, fantazya ta jest możliwsza po wojnie, niż była kiedykolwiek.

Nie chodzi wreszcie o prawdopodobieństwo lub nieprawdopodobieństwo tej poprawy stosunków ludzkich, jaką w tym rozdziale pod mianem reformy społecznej przewidujemy. Chodzi o *moralną* konieczność takiej poprawy. Staraliśmy się wykazać, że tym karygodnym błędem, który spletał groźny węzeł kwestyi społecznej dwudziestego wieku, było oderwanie wszelkich zasad moralnych od codziennej, lwią część życia ludzkiego pochłaniającej pracy na chleb. Zasady moralne życia indywidualnego nie wystar-

czają do należytego uregulowania stosunków ludzkich w tej dziedzinie pracy na chleb — w dziedzinie ekonomicznej.

Praca na chleb jest w rezultatach swoich pracą społeczną, i dlatego zasad moralnych, które nią kierować powinny, szukać należy nie w uczuciach i pobudkach życia indywidualnego, a życia społecznego. Najsilniejszym i najbardziej twórczem uczuciem człowieka jest miłość Ojczyzny, zatem znalezienie tych wskazówek i pojęć, które zwiążą pracę na chleb z tem uczuciem — to całe zadanie reformy społecznej. Biada narodom, które zlekceważą doniosłość reformy społecznej, które nie obudzą dość gorących uczuć miłości Ojczyzny, aby im drogę do niej wskazać: takie narody tylko dziejowy huragan rewolucyi lub obcej przemocy jest w stanie oświecić i otrzeźwić, z letargu obudzić.

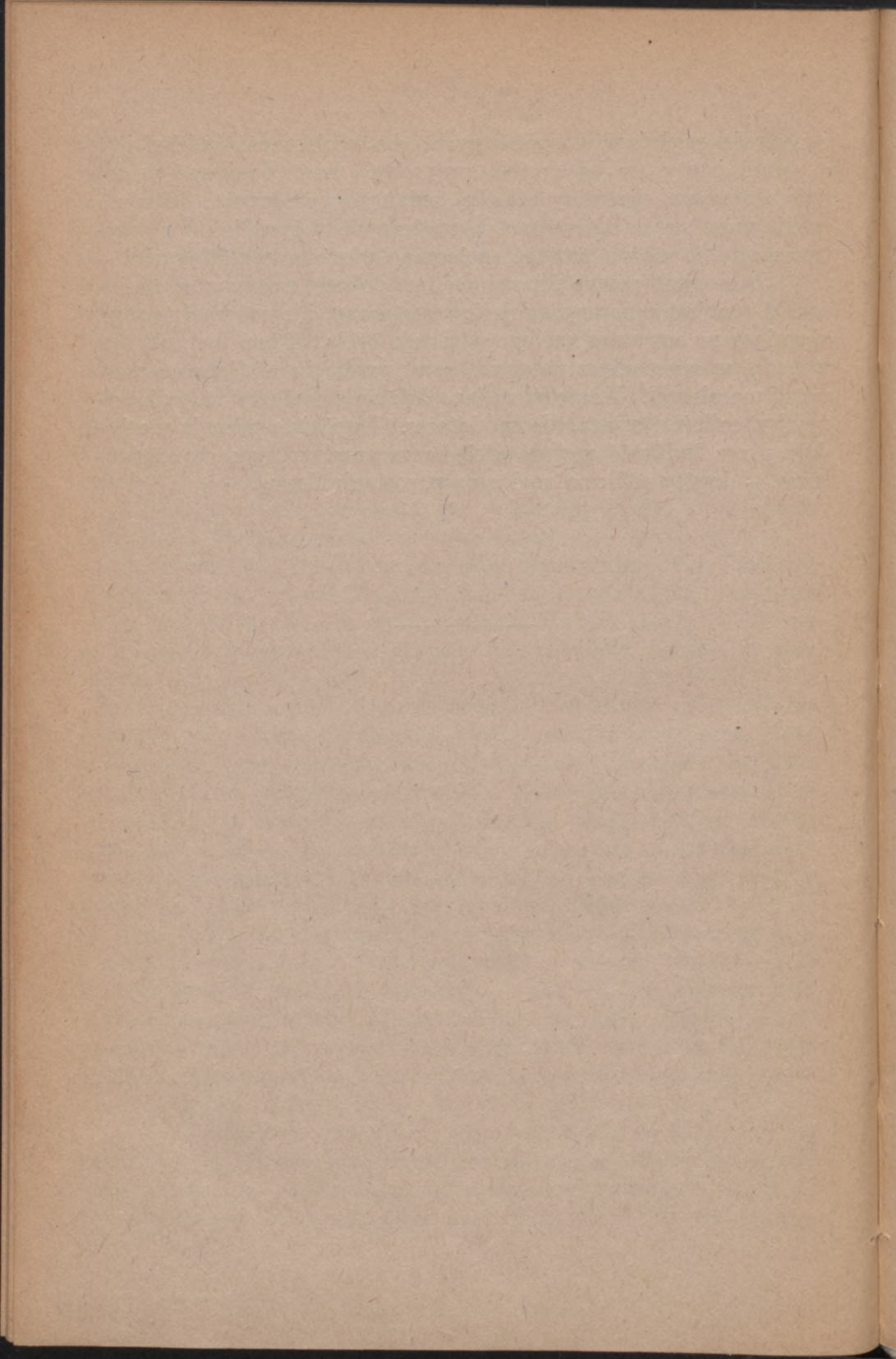
Niestety, takie obudzenie, jak wykazują dzieje, bywa często spóźnione. Takim spóźnionem obudzeniem był okres sejmu 4-letniego w Polsce. Takim spóźnionem obudzeniem była poniekąd i wielka rewolucya we Francyi, która z ran przez nią zadanych przez cały wiek dziewiętnasty wyleczyć się nie mogła. Oby nie spóźnionem obudzeniem stała się dla narodów Europy wojna obecna.

Staraliśmy się wykazać, że drogą, którą miłość Ojczyzny doprowadzi do reformy społecznej, jest to moralne odrodzenie, które pielęgnowanie tego uczucia wleje do wszystkich dziedzin życia ludzkiego. Ono to stworzyć jest zdolne w duszy ludzkiej nową miarę moralną, nowy instykt, który nauczy ją bezpośrednio odczuć odróżnić — jak dobro od zła — czynniki *integracyi społecznej* od czynników *rozkładu społecznego*. Ten instykt nauczy człowieka szukać takich dróg postępowania, które bogacić będą jego duszę mocnymi poczuciami zdrowej żywotności społecznej, rozkwitu; wskaże mu je w tych wszystkich organicznych całościach, których częścią jest każdy człowiek, — jak rodzina, zagroda, osada ludzka, gospodarstwo, Naród; nauczy go cenić szczęście *intensywności życia*, które tak mocno przemawia do nas z Boskiego Stworzenia, nie paczonego zawodnymi knowaniami ludzkiego umysłu — przyrody z jej zielenią i woniami.

Nie spekulacya umysłowa, lecz doświadczenie uczy nas, na czem polega zdrowie organizmu biologicznego, piękno przyrody, szczęście Bożego Stworzenia; nie spekulacya umysłowa, lecz znowu doświadczenie nauczy nas, na czem polega zdrowie, piękno

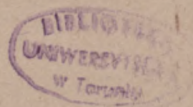
i rozkwit organizmów społecznych: bo społeczność ludzka jest z samej istoty swojej częścią przyrody. Lecz ponieważ w tej dziedzinie sami jesteśmy częścią badanego przedmiotu, doświadczenie musi się tu opierać na wewnętrznym instynkcie, który wytwarza to, co można nazwać społeczną świadomością człowieka.

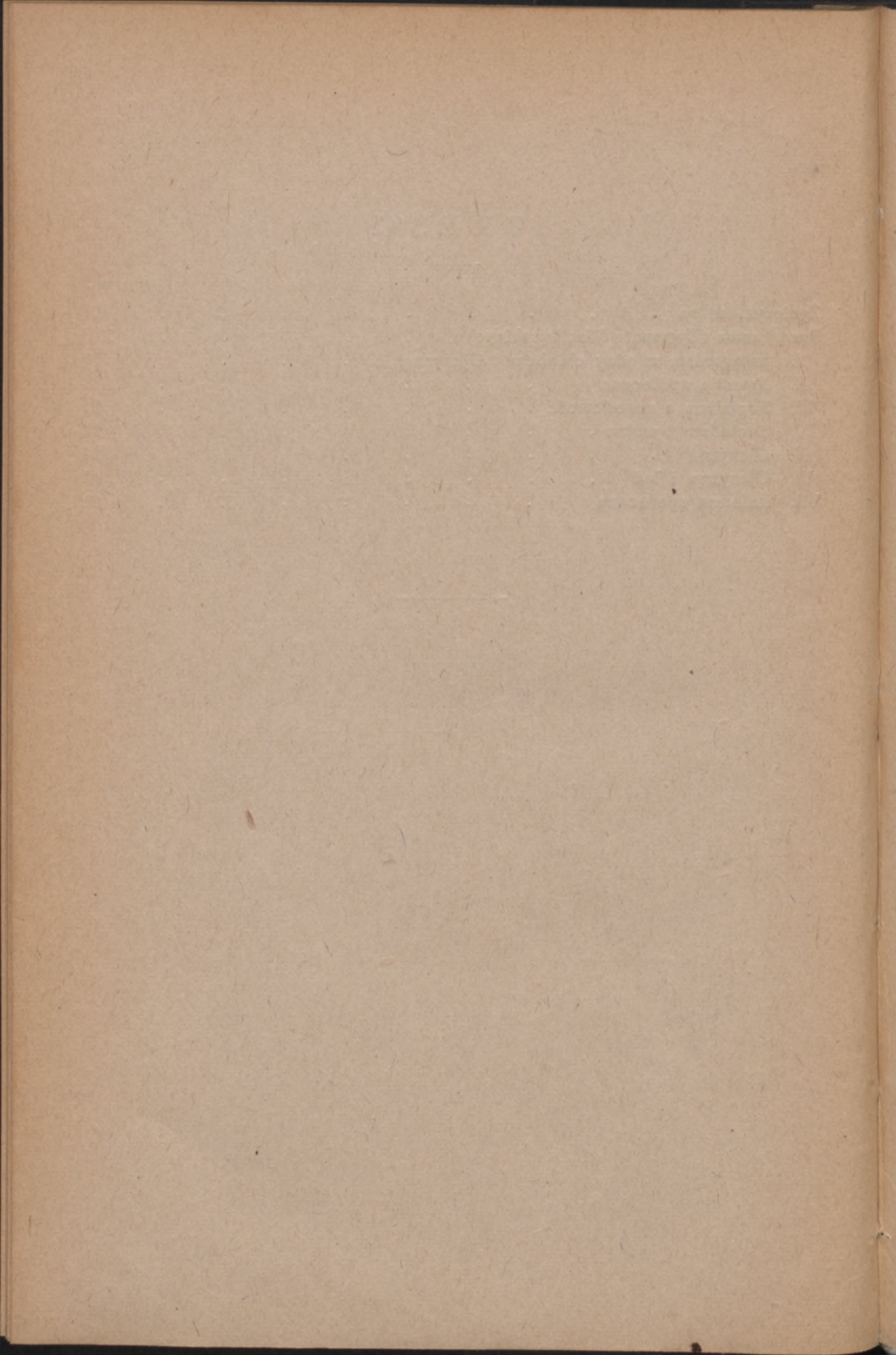
Jedno jest pewne i powinno być dobrze zrozumiane, że instynkt ten jest z natury swojej *altruistyczny*, nie zaś *egoistyczny*, sięgający na zewnątrz naszego własnego życia. I ten instynkt ten wchodzi w harmonię z ustanowionymi przez chrześcijaństwo prawami moralnymi. Narzędziem jego działania w duszy indywidualnej jest miłość i ofiara, nie zaś interes. Dopóki ta prawda nie będzie przez ludzkość równie głęboko rozumiana, jak chrześcijaństwo — dopóty reforma społeczna pozostanie iluzją.

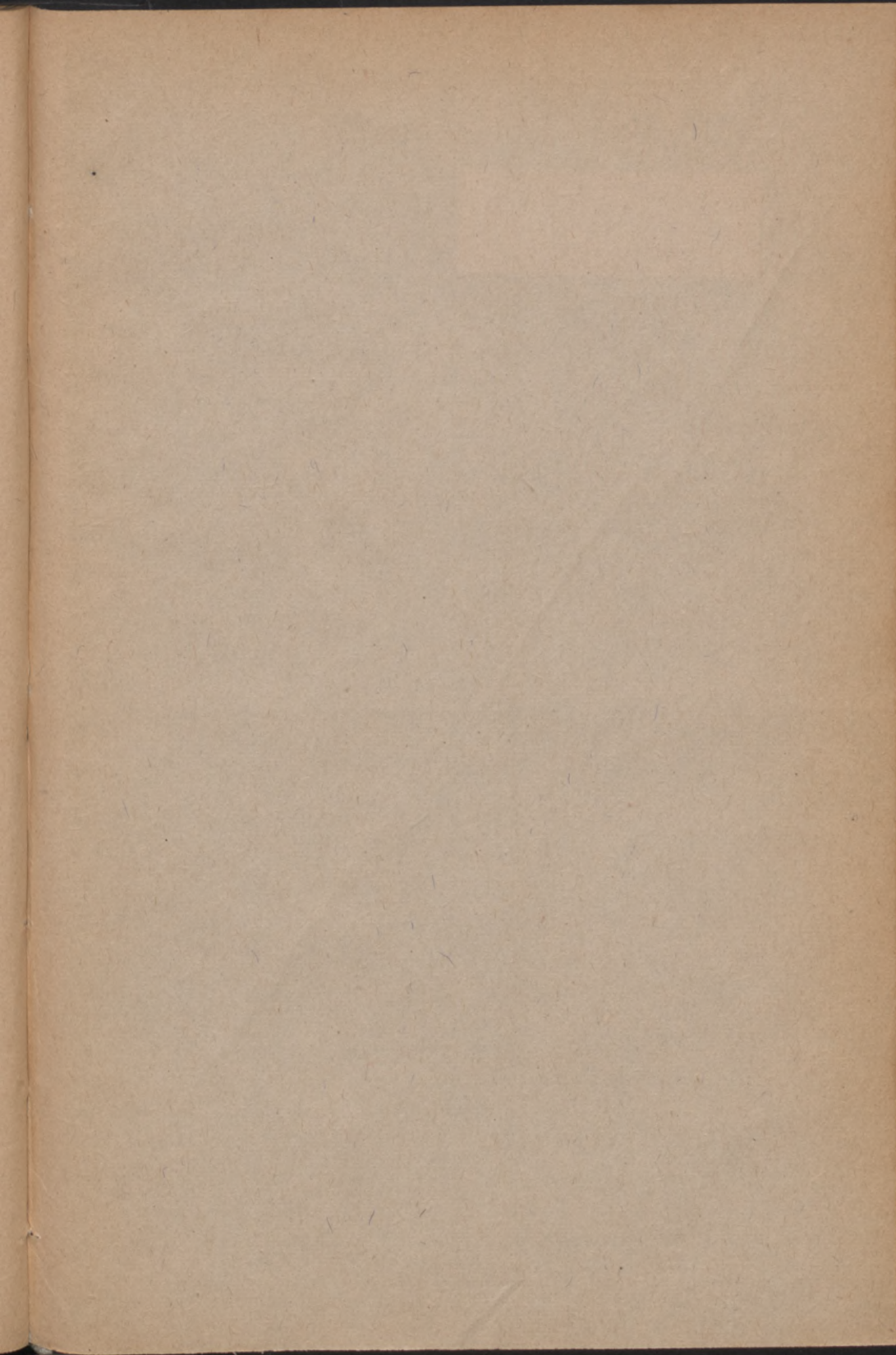


TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
Życiorys autora	VII
Przedmowa (Zygmunta Wasilewskiego)	XIII
I. Antagonizm między chlebem i Ojczyzną	1
II. Kwestja społeczna	3
III. Socjalizm a narodowość	11
IV. Socjalizm i wojna	22
V. Ojczyzna	34
VI. Ojczyzna i lud	48
VII. Reforma społeczna	62







299773

Biblioteka Główna UMK



300020715545